Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1887. Rok X.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Geografia łowiecka.

Broń myśliwska i sposoby polowania

przez

Dra J. FOICHTINGERA.

Wysokie znaczenie łowów dopiero wtedy w całości występuje na jaw, gdy z szczpłego naszego miejsca rodzinnego rzucimy okiem na cały obszar ziemi. Wszędzie znajdujemy zwierzęta łowne, wszędzie myśliwych, którzy je prześladują. Ale jakżeż różnorodną jest zwierzyna pod względem organizacyi, trybu życia i instynktu, jak rozmaicie ukształtowane są miejscowości, w których ona żyje, jaka różnica w sposobach polowania i uzbrojeniu, których człowiek używa w celu jej posiadania! Porównując rodzaje polowania różnych stref ziemskich i badając powody ich tożsamości lub odmian, dochodzimy do nader ważnych i ciekawych rezultatów. Widzimy przedewszystkiem, iż mimo różnicy sposobów polowania na wszystkich punktach ziemi, taż sama służy im podstawa. Wszędzie potrzeba zmusza człowieka do podjęcia walki z zwierzętami, naprzód poszukuje on ich futra w celu okrycia swej nagości, albowiem nawet w gorącej strefie bywają często noce dotkliwie chłodne. Opowiadają przeto już pierwsi i najdawniejsi sprawozdawcy o łowiectwie, że łowcy okrywają się futrem zabitych zwierząt. Walka rozpoczyna się pierwotnie z grubym zwierzem, którego futro rozmiarami odpowiednie do pokrycia ciała. Ponieważ on siłą przemaga człowieka, więc używa łowiec w walce z nim bardziej podstępu, jak przemocy. Łowy w tym okresie swego rozwoju charakteryzują się przeto głównie dołami i samołówkami. One wyrażają najwcześniejszy stopień łowiectwa każdego narodu, jak to się dzieje obecnie jeszcze przeważnie u wszystkich w dzikim stanie żyjących ludów. Samołówka i doły są groźnemi tak dla lwa i tygrysa Afryki, jak dla bawoła w preriach. Wieśniacy skandynawscy zabijają dziś jeszcze niedźwiedzia i wilka w samołówkach, zupełnie podobnych do tych, w których Grecy w czasach Xenefonta drapieżne zwierzęta ubijali. Zwieszony konar unosi zwierzę w górę w chwili, gdy ono chwyta ponętę, spadający ciężki kamień zabija je lub strąca w dół wykopany. Wszędzie uczuwał człowiek potrzebę wzmocnienia przyrodzoną siłę swego ramienia, a

gałęź drzewa dostarczała mu w tym celu najodpowiedniejszego środka. Czyniła ona możliwemi natarcie i obronę z większej odległości i potęgowała siłę pocisku. Tak powstała maczuga. Znajdujemy ową broń łowiecką z różnorodnemi odmianami od biegunów aż do równika.

Wnet okazała się potrzeba zwalczania dzikich, a zwłaszcza groźnych i szybkich zwierząt z wielkich odległości, do czego maczuga już nie wystarczała. To było powodem pojawienia się włóczni i procy. Pierwotnie rzucano może kamień z ręki, jak to się dziś jeszcze dzieje u niektórych bardzo nisko stojących pokoleń morza południowego. Bardziej rozwinięte ludy wnet uznały, o ile koniecznem było przedłużenie ramienia i stąd wynikającego wzmocnienia siły rzutu, i to ich poprowadziło do wynalazku procy. Bajecznem być zdaje się, jak straszną była bronią proca w ręku człowieka, przywykłego do jej używania w młodości. Procownicy balearscy, straszny zastęp łowiecki Rzymian, przeszywali swemi kulami kamiennemi z odległości kilkuset stóp deski trzycalowej grubości. Takimi też mieli być procownicy anglosascy, a angielscy wojownicy musieli mimo posiadania broni palnej bardzo często ustępować rażeni gradem kamieni dzikich. Wynalazek łuku i strzał stanowi broń łowiecką i mało które z dzikich pokoleń nie używało tej strasznej dla świata zwierzęcego broni. Z świstem przeszywająca powietrze strzała łamie przewagę zwierzęcia nad człowiekiem pod względem siły i szybkości ruchów. Jeżeli zwrócimy uwagę naszą, że wynalazek ten poczyniły ludy najróżnorodniejsze, nigdy z sobą w styczności nie będące, oddzielone od siebie olbrzymiemi przestrzeniami, to musimy przyznać, że podstawą jego było głębokie, przenikające prawo konieczności. Toż samo było przyczyną wynalazku sieci. Philletas, syn Parmeniosa, miał pierwszy utworzyć łowieckie sieci, które wstrzymywały napór nawet najsilniejszych i najwścieklejszych bestyi. Obecnie jeszcze sieć łowiecka u dzikich mimo wcale niedoskonałej tkaniny, jest po większej części prawdziwem dziełem sztuki. Nie łatwo wszakże bywa wytwarzaną, wymaga długiej i ciężkiej pracy. Dokonana bywa uważaną jako wspólna świętość i starannie przechowywana, wszelkie uszkodzenia jej naprawiane są z gorączkowem pospiechem, a kto umie poczynić w niej praktyczną zmianę w urządzeniu i użyciu, bywa wysoko ceniony. Często otacza się sieciami całe trzody dzikich zwierząt.

Na wszystkich punktach ziemi widzimy następnie człowieka jako posiadacza zwierząt domowych. Umiał on przeto w całym ciągu swej różnorodnej walki z zwierzętami, myśl łowiecką skierować w części ku pozornemu przeciwieństwu, ochrony i hodowania zwierząt. Ale przeciwieństwo to jest raczej umocnieniem zasady, że walka z otaczającą przyrodą jest głównym warunkiem istnienia rodu ludzkiego. Zabijamy tygrysa równie słusznie, jak tępimy jadowite i wstrętne płazy, albo neutralizujemy chemicznie miazmy i zarazki. Ułaskawienie pewnych rodzajów zwierząt, ich przeistoczenie w zwierzęta domowe nie nastąpiło pewnie w sposób spokojny. Posiadanie dzikiego psa okazało się pożądanem, gdy uważano, że owo zwierzę odznacza się ostrością zmysłów, siłą, odwagą, rączością, wytrwałością i instynktem, który je pędzi za wszystkiem, co żyje, że ono dla celów łowieckich niezmiernie przydatne. Ale zapewne nie mało czasu ubiegło, nim dziki, w dole pochwycony pies, przemienił się w wiernego towarzysza człowieka, i niezawodnie często jeszcze to zwierzę okazało mu się nieprzyjaznem i groźnem lub ucieczką chroniło się od bicza wychowawczego. Psy Eskimosów i Australczyków dostarczają dziś jeszcze dowodów dla tego twierdzenia, a opisy rzymskich historyków o psach Germanów dozwalają widzieć w tych zwierzętach drapieżną naturę, zaledwo nieco mozolnym trudem zwalczoną. Znacznie później przyłączył się do psa koń jako towarzysz i pomocnik człowieka w zawodzie łowieckim. Wiadomo, jak późno wszystkie ludy przystąpiły do jazdy konnej. Dziś jeszcze niektóre dzikie pokolenia nie umieją innej z konia wyciągnąć korzyści, jak tylko dźwigania ciężarów, które przymocowują do ogona w sposób najpierwotniejszy, a zarazem najniepraktyczniejszy, jakiego używała najodleglejsza starożytność. W łowach nie mógł koń przez długi czas oddawać należytych usług z powodu swej płochliwości. Angielscy sportsmeny doświadczali nieraz w Indyach, że wiele koni, najlepiej nawet dresowanych, na widok tygrysa z przerażenia stawały się bezwładnymi i jeźdźcowi zgubę przynosiły. A jednak dobra dresura może i taką trudność przezwyciężyć. Koń niektórych beduińskich pokoleń nosi na sobie prócz jeźdźca, wyprawiającego się na łowy, również tygrysa (geparda), odgrywającego rolę psa łowczego. Również słoń, owo majestatyczne zwierzę, podziwienia godne tak z powodu swej fizycznej jak duchowej siły, dawał szlachetnemu łowiectwu już w czasach pierwotnych znaczną podporę. Układny i posłuszny, przyjazny swoim stróżom, zna głos swego pana podobnie jak pies najlepszy i idzie mimo swych ogromnych rozmiarów za najlżejszą wskazówką. Uważnie słucha każdego rozkazu i wykonuje go szybko, spuszcza się na kolana, aby ulżyć wsiadającym nań. Podnosi ciężary trąbą i jest najznakomitszem zwierzęciem dźwigającem ciężary w Indyach, a zarazem najbardziej pożytecznem dla celów łowieckich i wojennych. Pierwszy połów słoni był niezawodnie śmiałem przedsięwzięciem i wymagał łączności wielu sił. Zapewne dokonano go za pomocą dołów, w jaki sposób dotąd negrzy w Senegalu łowią słonia, którego mięso zowią przysmakiem. Przykrywają rozległy i głęboki dół deskami, pokrytemi roślinami i trawami, któremi słoń się żywi. W całych Indyach, Ceylon i Siamie uważany jest słoń jako zwierzę uświęcone. Barwa skóry jego jest tam zwykle czarną, a biała wielką rzadkością. Jeden z wielu tytułów króla Siamy brzmi: Władca białych słoniów. Jedynie z pomocą słoni są tam łowy na tygrysa możliwe. Idzie on skwapliwie za tropem tygrysa, gdy koń z wstrętem się od niego odwraca. Zaatakowany przez tygrysa broni się dzielnie, a myśliwy siedzi na nim nie narażony na żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Słonie wietrzą tygrysa w pobliżu i wskazują myśliwemu grozę właściwym, jakby trąby, głosem i okazywanym niepokojem. Gdy się tygrys zbliża, to już słoń nie da się kierować, wyciąga trąbę w powietrze, a pochód jego staje się nader powolny i ostrożny. Skoro objawi się ruch jakiego zwierzęcia w trawach, staje najbliższy słoń, a myśliwy strzela w kierunku poruszającej się trawy. Postrzelony tygrys rzuca się na najbliższego słonia i stara się chwycić go za trąbę, ale ostrożne zwierzę wznosi ją w tej krytycznej chwili jak najwyżej.

Tak więc widzimy, że niebezpieczeństwo wobec groźnego zwierza zniewala człowieka przybrać sobie równie groźnego towarzysza, natarcie i obrona zawisły na łowach od geograficznego terenu, na którym

polowanie się odbywa. Już Marco Polo opowiada, jak wyrusza na łowy wielki chan w swoim złocistym, lwiemi skórami okrytym pawilonie, umieszczonym na grzbietach czterech słoniów. Dziesięć tysięcy sokolników otacza pawilon, w którym się znajduje władca z swymi ulubieńcami i najwybrańszymi sokołami. Jeźdźcy szeroko rozbiegają się w koło i uwiadamiają pana o zbliżaniu się ptaków. On podnosi wówczas zasłonę pawilonu i wypuszcza sokoły.

Tak tedy może być nasze zainteresowanie się łowiectwem tem bardziej spotęgowane, gdy najróżnorodniejsze metody polowania naszego płanety bliżej rozpatrzymy i rozważymy, o ile stopień kultury narodu, klimat i sam świat zwierzęcy w związku z właściwością ziemi równorzędnie do tej różnorodności się przyczyniają. Uzyskujemy w ten sposób podstawę nauki nowej geografii łowieckiej, pole, które dotąd przez pojedynczych tylko korefeuszów sportu łowieckiego było uprawiane i wzbogacone. Zadaniem jest wykazać ścisły związek między strefami i metodami łowieckiemi. Jeżeli na dzisiejszem stanowisku naszej wiedzy nie zawsze jest możliwem związek ów jasno i rozlegle objaśnić, to jednak tyle przecież już uzyskano, że jego istnienie nie da się zaprzeczyć i że zdobyto wielką mnogość nauczających i ciekawych materyałów. Tak wiemy z mnogich badań, jak to już wyżej nadmieniono, że sieć szerzy się po całej ziemi, że ona wynikła z potrzeby rybaka i zapewne nie mało upłynęło czasu, nim użytą została w łowiectwie. Widzimy, że przemysł człowieka użył do wyrabiania jej różnorodnego materyału z równym skutkiem. Murzyn wyrabia ją z kory i łyka, Grenlandczyk z włosa brody wielorybiej.

Szczegółowe rodzaje broni i sportu rozjaśniły się dopiero należycie przez takie pojmowanie rzeczy i poddane zostały krytycznemu ocenieniu. Odnosi się to przedewszystkiem do lasso, głównego przyrządu łowieckiego pokoleń jeździeckich amerykańskich preryi. Istnienie jego w Ameryce zdaje się być na pierwszy rzut oka bezpodstawnem. Wiemy, że kontynent w czasie odkrycia jego przez Europejczyków, nie posiadał koni, i w istocie nie znajdujemy wzmianki w opisach obyczajów tamtejszych ludów, iżby używały arkana. Przypuścić więc musimy, że przyszedł on tam dopiero z wprowadzeniem koni u Hiszpanów, którzy przyjęli je od Maurów, więc przyrząd ten jest wschodniego pochodzenia. Już w zamierzchłej starożytności używali go Egipcianie i ludy azyatyckich stepów, szczególnie Partowie byli mistrzami w sztuce łowienia zwierząt arkanem. Lasso powstał zapewne z kuli rzutnej czyli z kamienia, umocowanego do powroza lub rzemienia. Herodot i Pomponius Mela donoszą o ludach sarmackich, że wlokły jeńców swoich lub zwierzęta chwytane na arkan. Skoro kluczka na pewien przedmiot rzuconą została, pędził jeździec w przeciwnym kierunku, czem przedmiot ów zadzierzgał się i wlókł, zupełnie w sposób taki, jak to się jeszcze dzisiaj tam dzieje. Starożytni przypisują wynalazek tego przyrządu Irańczykom, których bohater narodowy Rustem pierwszy go używał. W istocie zdaje się, iż rozszerzał się z górnej Azyi ku zachodowi, i stąd dopiero przyszedł do Sarmacyi. U Sarmatów najbardziej się on rozszerzył. Niewiasty Jaxamatów, ludu sarmackiego, brały konno udział w walkach z arkanem w ręku, podczas gdy ich mężowie pieszo walczyli. Alanowie i Hunowie używali też arkanów, a między rzymskimi gladjatorami znajdowali się laquearii, którzy używali arkana. Wyraz „sidło diabelskie“ tak częsty w księgach hebrejskich, pochodzi zapewne z przykrego wspomnienia, jakie utkwiły w izraelitach o arkanach azyatyckich.

Jeżeli w ordaliach starogermańskich wydarzyło się, że niewiasta walczyć musiała z mężczyzną, to otrzymywała arkan jako dodatek do reszty broni, aby wyrównać szanse walki. Obecnie używanym bywa lasso w Europie tylko przez Rosyan w celu chwytania dzikich koni, przez Indyan w północnej Ameryce i Kreolczyków południowych. Najzręczniej rzucają lasso Arrieros w Kalifornii. Ich lasso są ze skóry bawolej lub skręcone z włosa bawolego i tak sporządzone, jak dzisiejsze rosyjskie. Tak więc ma każda broń swój rodowód, swe dzieje, swe rozszerzenie się, swój czas rozkwitu i upadku. Wiele czasu musiało upłynąć, dalekie przestrzenie należało przebywać, nim arkan przeszedł z ręki Hunów i Sarmatów do Indyan i Gauchów krain La Plata. Maurytanin i Kastylczyk tworzyli łączny węzeł, który dziś już prawie zupełnie się zatarł, ale początek i koniec ruchu tego przyrządu nie różnią się od siebie. Okolice, w których broń się zrodziła, mają tę samą cechę, jak te, w których znużona daleką wędrówką do spoczynku się ułożyła. Są to bagniste i trawne równiny, pokryte stadami owiec i bydła, zwidzane przez dzikie konie, przez hordy koczownicze, żyjące z rabunku i walki, przejęte bałwochwalstwem i okrucieństwem. Taż sama pojawia się tu i tam miłość wolności, zuchwałość i męstwo, równe jawienie się i znikanie, ten sam ogień wybuchu i rozbójniczego działania. Jak osadnik azyatyckich stepów otacza swój dom murem i we wnętrzu jego przygotowuje się do obrony, aby oprzeć się włóczącym się beduinom, tak też okolice Pampas obmurowane są ciernistymi i kolczastymi murami 25 — 30 stóp wysokiego *cactus opuntia* przeciw napadom pampasowych Indyanów. Nawet Gaucho, stróż bydła Pampasu, mięszaniec zwykle Europejczyków i Indyan, nosi na sobie ową cechę, jaką starzy kronikarze Hunom przyznają. Jak ci niegdyś, tak ten obecnie ugniata mięso pod siodłem i spożywa je w stanie prawie surowym. I on zasypia na wietrze i w niepogodę na gołej ziemi i pogardza piechotnym pochodem. Chatę swoją buduje z kilku palów, których odstępy zapełnia ziemią. Następnie pokrywa ów budynek skórami, jak gdyby się tego uczył u Hunów lub Sarmatów. Dym wychodzi otworem w środku chaty, czaszki końskie i wołowe służą za krzesło. Mamyż się dziwić, iż u siodła takiego jeźdźca wisi lasso tak, jak u jego azyatyckich przodków? O ile istnienie jadowitych roślin wpływa na zmianę rodzajów polowania, wskazuje zwyczaj Indyanów południowej Ameryki, zatruwania swych strzał łowieckich. Zatruta strzała wypuszcza się najczęściej z wiatrówki, a mieszkańcy tych okolic przenoszą ową broń z powodu jej niehałaśliwego skutku nad palną. Dwa są rodzaje myśliwskiego jadu. Jeden jest droższym i rzadszym i uzyskuje się go z rośliny wijącej się, noszącej nazwę Bejuco i Ampiguasca. Przy wyciskaniu jej wypływa cuchnący mleczny sok, który w garnku na silnym ogniu się gotuje. Po kilkugodzinnem kipieniu przecedza się ów sok przez płótno. W celu zakonserwowania dodaje się liść tytuniu Capsicum, nader ostrego gatunku, gotuje się znowu przez godzin dwanaście, przecedza i zgęszcza jakby wosk przy wolnym ogniu. Trucizna jest wtedy gotową i nazywa się Cutipa. Napełnia się nią rurki drzewne i zatyka smołą.

*

Wiatrówka sama składa się z trzciny, około 15 stóp długiej, zupełnie prostej, w całości gładkiej, pół stopy grubej. Znajduje się taka trzcina u stóp gór i znaną jest i wielce cenioną pod nazwą Esmiraldy. Myśliwy zachowuje jedną i tę samę wiatrówkę przez całe życie, jeżeli wypadek jaki mu jej nie odbierze, z dumą wynosi jej połysk, lekkość i pewność tak, jak myśliwy europejski istotne lub urojone zalety swej broni palnej. Nie wydaje ona głosu, nie płoszy przeto zwierzyny, więc nawet po chybionych strzałach można jednę i tę samą zwierzynę prześladować. Obwija się ją skórzanemi pasemkami i powleka sokiem mlecznym drzewa Chaucho, przez co nabiera ciemno-brunatnej barwy i powietrze jej nie trawi. Strzałki długie są na 8 cali, z drzewa delikatnego, koniec ostry długi na cal i w kształcie śruby wyrobiony, aby jad mocniej się go trzymał. Grubszy tylny koniec strzały obwinięty o tyle bawełną, aby szczelnie w rurę wchodził. Strzał sięga do 300 kroków dosyć jeszcze pewnie.

Przy Orinoko zowie się jad Curare i należy obok jadu Tiknas u rzeki Amazonek i Upas w Jawie, do najsilniejszych śród znanych. W nowej Grenadzie wyrabiają go z wijącej się rośliny Bejuco de Mavacure przez gotowanie. Kora i obłon, w których się znajduje, wygotowuje się, a następnie zgęszcza. Masa ta wygląda wtedy jak czarny syrop, nie jest wszakże niebezpieczną i może być bez szkody dla zdrowia spożywaną. Między Indyanami służy ona nawet jako lek w cierpieniach żołądka. Jeżeli jednak choćby w najmniejszej ilości wprost przez zadzierkę skórną dostanie się do krwi, wywołuje zawrot głowy, wymioty, odurzenie i śmierć. Najskuteczniejszy Curare jest Esmiralda przy Orinoku. Indyanie tej miejscowości sprzedają swój jad po wysokiej cenie w dalekie strony. Sposoby przyrządzania są bardzo rozmaite, najczęściej trwożliwie okrywają je zasłoną tajemniczą, a nawet ochraniają mgłą gadek, aby nader prostej prawdy nie odsłonić. Wiele pokoleń indyjskich wierzy silnie, że w okolicy Esmiraldy żyje mała żabka, wypryskująca ów jad, gdy się drewnianym sztyftem szyję jej, a drugim udko przebije. Ale żyje ona w skalnych rozpadlinach i tylko mieszkańcy Esmiraldy posiadają tajemnicze zaklęcia, wywołujące ją z nich. Nie mniej liczne i dziwne są ich zabobonne uroki, przypowiastki i zamawiania, które chronią od zabójczych następstw jadowitej strzały, wstrzymują siłę jadu, czynią postrzał niechybnym. Rzucają one blade światło na zamglone jeszcze dzieje zabobonu wszystkich narodów. Czyż to dawno podobne zarysy ciemnego obłędu były niemal powszechnymi śród łowców Europy! Kula wylana z ołowiu starych krzyżów cmentarnych, kładła trupem każdą zwierzynę; chleb, którego ciasto zarobione było krwią barana, zarzniętego podczas odprawiającej się mszy, nadawał kuli pewność; serce czarnego kota gotowane w mleku czarnej krowy, dawało spożywającemu tę korzyść, iż czyniło go niewidzialnym wobec prześladowcy; kto leczył ranę swego ciała poświęconą hostyą, dokonywał nieprawdopodobnych dzieł myśliwskich i nie mógł rychlej umrzeć, aż ową hostyę z ciała wydobyto. Strzał wymierzony ku krucyfiksowi dawał trzy pewne strzały w tym dniu; strzał do woskowej figury imieniem Belzebuba ochrzczonej, oddawał przeciwnika śmiertelnej zemście strzelca, a strzał taki miał moc ubijania wszystkiego, czego się zapragnęło. Czemże się różnił człowiek strzelający w lesie podczas nocy Bożego Narodzenia do hostyi, od Indyanina, który w cieniach lasu pierwotnego ku wrogiemu bożkowi wysyłał strzałę jadowitą; kłusownik, który klęcząc na suknie, strzela ku słońcu, księżycowi i ku Bogu i wyczekuje z czołem od trwogi potem zlanem kropli krwi, sączącej się z nieba, od dzikiego, zanurzającego śród nocy przy buchającym ogniu ostrze strzały w kocioł wypełniony trucizną i wywołującego boga pomsty na zgubę swego wroga! Wiele indyjskich pokoleń u rzeki Amazonek, wyłącznie tylko łowiectwu oddanych, nie mogłoby bez swych wiatrówek i strzał zatrutych istnieć, albowiem w skutek nader niskiego stopnia oświaty nie posiadają innych środków zabijania zwierząt w swych niezmiernych lasach. Również Karaibowie zapuszczają od najdawniejszysh czasów swe wojenne i łowieckie strzały jadem Urari albo Wurari, a zatrute ostrze pokrywają bambusem w celu ochronienia go od wilgoci i zabezpieczenia myśliwego. Przed wyrzuceniem strzały zrzuca myśliwy pokrowiec, a w celu złamania strzały w dosięgniętym przedmiocie i silnego utkwienia w nim, podcinają ją u dolnego końca. Strzały do łowów na dziki, tak zwane kotinery, opatrzone są mocnym kawałkiem drzewa, który się w gąszczu tak zamota, że zwierzę tam się chroniące wstrzymuje. Zatrute strzały przechowują się w puszkach bambusowych, a ponieważ długość ich wynosi tylko 4—8 cali, więc myśliwy nosi z sobą znaczną ich liczbę. Pierwsze pociągnienie jadem otrzymuje strzała za pomocą małego kawałka drzewa, który jadem się napawa. Suszy się je potem na słońcu lub przy ognisku i powtarza pociągnienie trzy lub cztery razy. Na wilgoci łatwo się jad psuje i traci w skutek chemicznego rozkładu swą zabójczą właściwość.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z życia myśliwskiego na Polesiu.

Stary myśliwy.

„Panoczku bądź łaskawy, daj mnie nabój prochu.
Oj bieda mnie staremu! Ledwie człek potrochu
Siaki taki dobytek zgromadzi do chaty,
Licho jakieś się zjawi i poczyni straty.
Ot i teraz: źrebaka . . . — taki krępy, dziarski,
Byłby na przyszłe lato konik gospodarski, —
Niedźwiedź zadarł i zawlókł do lasu pod choję.
Bodaj go za to licho skurczyło we dwoje!! . . .
O! ja mu nie daruję! — ja mu spuszczę juchę! —
Panoczku! dajcie prochu, — zabiję maruchę.“
Temi słowy stary, zgarbiony i siwy,
Prosił pana dawniejszy ze dworu myśliwy.

— „Co ty pleciesz? — Na starość zwarjował Hrehory!
Ledwie nogi posuwa zgrzybiały i chory, —
A jednak na niedźwiedzia bierze go ochota.
Toż on ci, stary dziadu, kości pogruchota.“
— „Niewiadomo, panoczku, co i jak się stanie?
Kto tam kogo przemoże? — Ja, łaskawy panie,
Jużem nie raz i nie dwa śmierci zajrzał w ślepie,
A kiedy Pan Bóg łaskaw, dotąd biedę klepię...
Może mnie tak sądzono i ten raz ostatni
Zmódz kudłatą bestyę, wyjść szczęśliwie z matni;
Ja bo już się zakląłem na moje wnuczęta,
Że zabiję szkodnika. Człowiek nie pamięta,
Co mówi, kiedy krzywda krwawa go dobodzie,
Już się słowo wyrzekło, stoi na przeszkodzie;
Przed Bogiem ni przed ludźmi Hrehory nie kłamie.
Może mi stare kości marucha połamie?
Może już szkodzić więcej nie będzie nikomu?
Dajcie prochu, panoczku, bo już nie mam w domu.“
— „Et!... dałbyś pokój! toż to warte śmiechu,
Narażać się bez sensu, by uniknąć grzechu.
Bez sensu, boś już stary, a niedźwiedź nie zając.
Wszak gorszy grzech popełnisz, życie narażając.
Ja ci szkodę powrócę, — utul się w rozpaczy,
Daruję ci żrebaka od bułanej klaczy.“
— „Niech Pan Bóg, mój panoczku, łaski ześle na cię!
Wy zawsze dla starego dobre serce macie.
Niech wam zdrowo wyrasta dziatwa ukochana!
Za źrebię piękną skórę przyniosę dla pana.“
— „Jaką skórę?“
— „Niedźwiedzią. Nic już nie pomoże,
Albo zwalę kudłacza, lub głową nałożę.“
— „Co tu poradzić z takim zawziętym uporem?“
— „Dajcie prochu, panoczku, bo pójdę z toporem!“
— „Co tu począć?... Posłuchaj!... idąc na kudłacza,
Weźże strzelbę przynajmniej, nie kawał łomacza.
Znam ja wasze rusznice! — Swoją dubeltówkę
Ja ci dobrze nabiję, urządzisz kryjówkę, —
Połatki*) regularne, Bazyl ci pomoże.“
— „Nie, panoczku! — nie trzeba, chowaj Panie Boże!
Ze swojej połamanej i starej rusznicy
Hrehory nie spudłuje... jak do jasnej świecy!
Na licho te połatki? — Nie trzeba kłopotów,
Bo do ścierwa marucha jeszcze nie przyjść gotów.
Gdzie ja go potem złowię? Nogi już nie służą,
Za niedźwiedziem, gdy pójdzie, chodzić trzeba dużo.
Nie od dzisiaj poznałem to przeklęte zwierzę.“
— „Co ja pocznę z upartym? Niech cię Pan Bóg strzeże!“
Nazajutrz pan wstał ze snu o wczesnym poranku,
A już stary Hrehory czekał nań na ganku.
— „No! co słychać, mój stary?“
— „Przyszedłem zawczasu,
Daj, panoczku, podwodę po niedźwiedzia z lasu!“
— „Jakże było, opowiedz.“
— „Co po tem gadaniu?
Przez noc całą czekałem, przyszedł o świtaniu.
Gdy się bawił pod choją ze ścierwa ochłapą,
Pociągnąłem od serca... Przeżegnał się łapą.“ **)

Jan Niesłuchowski.

*) Na niedźwiedzia lub dzika odyńca chcąc go w nocy zabić, na przesmyku lub miejscu, gdzie na żer wychodzi, robią tak zwane na Polesiu połatki, małą platformę z desek na drzewie, zkąd zaczajony strzelec, bezpiecznym sam będąc, tem lepiej mierzyć i trafić może.

**) Niedźwiedź trafiony kulą w głowę śmiertelnie, rzeczywiście czasami chwyta się łapą za zranione miejsce, o czem myśliwi dla żartu powiadają: „przeżegnał się łapą“.

O psach myśliwskich

napisał

J. Szlezynger.

Nie ma zapewne w całej Europie kraju, jak nasz, gdzieby ochrona i opieka nad zwierzyną w wyższym stopniu zaniedbaną była, a chociaż pisma codzienne i specyalnie wydawane broszury wskazywały nieraz apatyę i nieład w tej gałęzi gospodarstwa, podając środki polepszenia, to jednak dotąd są to głosy wołającego na puszczy. Obecnie niektórzy ludzie dobrej woli i zapewne nie pseudomyśliwi zaczynają się krzątać około zawiązania towarzystwa, którego celem ma być przestrzeganie racyonalnego polowania, a zatem podniesienia z upadku naszego zwierzostanu. (W Królestwie Polskiem. P. R.)

Cokolwiek z tego wypadnie, będzie wynikiem starań, ujęcie w pewne karby rozkiełzanych namiętności i domagającej się uporządkowania, bądź co bądź, ważnej ekonomicznej kwestyi. Myśliwstwa celem nie powinna być tylko chwilowa rozrywka, a tem mniej swawolna igraszka,*) lecz jako stanowiące część gospodarstwa przemysłowego, powinno być oparte na właściwej nauce i poważniejszych studyach, aby się stać mogło umiejętnością, pożytkowaną przez ludzi inteligentnych i fachowo wykształconych. Od zawiązującego się towarzystwa i solidarności jego członków, mamy prawo oczekiwać pożądanej reformy w tak zaniedbanej gałęzi naszego gospodarstwa, a przedewszy-

*) Myśliwstwo mylnie nazywają łowiectwem. Łowienie zwierzyny odbywało się przed wiekami z użyciem sieci, sideł, żelaz itp. przyrządów lub z pomocą drapieżnych ptaków umyślnie do łowów układanych. Z wynalezieniem broni palnej łowca zastąpił myśliwy, tj. myślący nad odgadywaniem natury, właściwości i instynktów zwierząt i ptaków, aby przy pomocy tej umiejętności, zastosowanej w praktyce, mógł je łatwiej wynaleść i zastrzelić. Dla tego też ani myśliwstwa z łowiectwem, ani myśliwego z łowcem za jedno brać nie można; a tytuł pisma („Łowiec“), wydawanego we Lwowie, usprawiedliwić można chyba tem, że jednocześnie traktuje i o rybołowstwie. (Nie zupełnie godzimy się z tem twierdzeniem, które o tyle jest słusznem, o ile staje w obronie umiejętnego myśliwstwa, wymagającego badania przyrody. Gdy wszakże zważymy, że myśliwstwo jest także szukaniem, tropieniem, ściganiem, prześladowaniem, a więc łowieniem zwierzyny, to nazwa uogólniająca „łowiectwo“ jest usprawiedliwioną, z tego też powodu stale przyjętą. P. R.)

stkiem przekształcenia lekkomyślnych tępicieli zwierzyny w umiarkowanych i poważnie rzecz traktujących myśliwych. W naszym kraju sama przyroda określa rodzaj polowania; po wytrzebieniu większych lasów mamy pola oraz w znacznej części błota i wody; zatem idzie, że polowanie u nas przeważnie odbywa się na lotną zwierzynę. Przy takiem polowaniu koniecznem się staje dla myśliwego posiadanie dobrego psa, który jest nieodstępnym jego towarzyszem; aby jednak pies wart był opieki i podjętych trudów około wychowania, powinien z góry dawać rękojmię swej pożyteczności; rękojmią taką jest czystość rasy. We Francyi, Anglii i Niemczech są specyalni przemysłowcy utrzymujący psiarnie rasowe dla zysku, a psy stamtąd nabyte stanowią dla myśliwego prawdziwy pożytek, dla hodowcy zaś niemały dochód. U nas wyjątkowo tylko zamożniejsi myśliwi posiadają psy rasowe, sprowadzone z zagranicy, lecz przy zbliżającej się poprawie naszego zwierzostanu czas jest pomyśleć o zaprowadzeniu gniazd rasowych psów myśliwskich, mianowicie wyżłów, jako odpowiednich miejscowemu rodzajowi polowania.

Nie ulega wątpliwości, że wyżły jako pierwotni przedstawiciele rasy, pochodzą z Hiszpanii; sprowadzone do Francyi i Anglii, przez umiejętne krzyżowanie wytworzyły nowe rasy, znane pod ogólną nazwą psów francuskich i angielskich. Cechy i przymioty powyższych ras wyżłów, postaram się streścić w niniejszym artykule, w celu objaśnienia myśliwych, odsyłając ich pod względem poglądowym do dzieł specyalnych, wydanych w różnych językach z odpowiedniemi ilustracyami.

Braque jest to wyżeł najwięcej używany we Francyi; włos jego krótki, delikatniejszy na głowie niż na reszcie ciała, najczęściej biały, a chociaż upstrzony plamami brunatnemi albo czarnemi, to jednak białe tło stanowi charakterystyczny znak tej rasy. Psy te są silne, kształtne, uszy mają cienkie wysoko osadzone, u dołu zaokrąglone lecz niezbyt długie; ogon przy osadzie gruby, ku końcowi cieńszy, słabo zagięty ku górze. Przymioty tej rasy są bardzo cenne; odznaczają się bowiem psy tej rasy w wysokim stopniu pojętnością, posłuszeństwem i bacznością na głos swego pana; przytem są biegłe w rozeznawaniu sposobów chronienia się zwierzyny, nie porzucają jej śladów, lecz idą krok w krok za nią z cichością pod wiatr, dopóki zmęczenie nie zmusi je zatrzymać się nagle, wtedy stają nieruchomie, podnoszą jedną przednią nogę, wznoszą uszy przy osadzie, rozszerzają nozdrza, oczy iskrzące zwracają na zwierzynę o krok ledwie odległą, która jakby oczarowana ruszyć się nie śmie. Obok powyższych przymiotów, to jedno zarzucić można, że nie zajmują wielkich obszarów pola i nie zbyt rączo biegają, przeto w ciągu dnia nie znaczną przestrzeń spolować można.

L'espagneul albo *espagnol*, którego sama nazwa wskazuje pochodzenie z Hiszpanii, pokryty jest długim włosem, najczęściej koloru czerwono-żółtego lub brudno-kasztanowatego, pysk wydłużony, ku końcowi cieńszy, uszy trójkątnie zakończone i dobrze do głowy przystające, wydają się dłuższe niż u *Braqu'a*, gdyż pokrywający je włos sprawia ich przydłużenie; ogon długi prosto w górę wzniesiony, upiększony jest od spodu bujnym długim włosem. Psy te z powodu swej piękności i łagodności charakteru, używane są we Francyi przez wykwintnych myśliwych i po największej części w mieszkaniach ich panów utrzymywane. Jest to zatem rasa niejako uprzywilejowana, a to tembardziej, że przez mięszanie z coraz mniejszymi okazami, wytworzyła się z niej nowa odmiana tej rasy psów miniaturowych, jakiemi są tak zwane gredeny (g r e d i n s), king-charles itp., które jakkolwiek posiadają przymioty czyniące je zdolnymi do polowania, jednak dla swych drobnych kształtów nie są dresowane i jako faworyty dam pędzą wygodne życie w ich budoarach.

Griffon, stanowi trzecią odmianę rasy wyżłów francuskich; wygląd jego brzydki, przedstawia okaz niezgrabny, pozbawiony pięknych kształtów z powodu dłuższych włosów, które pokrywając uszy, zwierzchnią część ciała, powiększają się i wydłużają na ogonie, przez to podobnym do lisiego. Jeżeli do tego dodamy prosto spadający ku dołowi włos na policzkach i ku końcowi trąby nosowej wąsy zakrywające pysk, to każdy przyzna, że okaz taki nieprzyjemnie wpada w oko i przypomina nam obraz naszych brzydkich psów owczarskich, tembardziej, że i nad oczami jego spadają takież kępy włosów, a kolor w ogóle brudno-popielaty. Pomimo tych zewnętrznych cech rasy, przedstawiających się tak nieestetycznie, przymioty griffonów są znakomite. Przedewszystkiem idą chętnie w wodę i na błota, gdzie pracują z niezmordowaną pilnością, nieopuszczając najtrudniejszych do przebycia miejsc i zarośli, posiadają w wysokim stopniu roztropność i delikatność powonienia, chodzą wolniej niż psy poprzednio opisane, niemniej przeto są pożyteczne dla myśliwych starszych lub otyłej tuszy. Griffon z natury jest zuchwały i uparty, wady te przedstawiają niejedną trudność w układaniu go do polowania, lecz umiejętne z nim postępowanie przy użyciu w miarę potrzeby nawet środków surowych, bez osłabienia jednak zaufania, czynią z niego wybornego towarzysza polowania i niezmiernie oddanego na usługi swego pana.

Wymienione trzy typy przedstawiają czystą rasę psów francuskich. U nas pojedyncze ich okazy wyjątkowo gdzieniegdzie spotkać można jako czasem sprowadzone z Francyi, lecz z powodu braku zarodowych psiarni, nie są rozpowszechnione.

Anglicy bardzo są wybredni w wyborze wyżłów rasowych, a nadto zbytek posuwają tak dalece, że do każdej posługi na polowaniu używają psa specyalnej rasy umyślnie układanego; więc mają pointerów i setterów do zwykłego szukania i wystawiania ptactwa, retriewery służą im do aportowania i spaniele do wypędzania ukrywającej się zwierzyny bez jej wystawiania.

Nasi myśliwi i niemyśliwi najwięcej używają wyżłów mięszańców, pochodzących od pointerów i setterów, bo okazy czystej rasy są u nas bardzo rzadkie; dla tego postaram się więcej szczegółowo wskazać cechy znamionujące czystość rasy, aby według tych wskazówek każdy hodowca mógł odróżnić bastarda od prawdziwego przedstawiciela.

Pointer ma dużą głowę, szeroką między uszami, przednia jej część wzniesiona i mocno rozwinięta, a w środku przedzielona zaklęśnięciem. Trąba nosowa długa, nie idzie w prostej linii od czaszki, lecz obniża się widocznie. Nos długi, szeroki czworograniasty, silnie rozwinięty i nieco do górę wzniesiony. Oczy wielkie wyrażające inteligencyę i bystrość, barwą odpowiadają ubarwieniu włosa. Szczęki długie, równe, wargi szerokie lecz nie obwisłe. Uszy długie, miękkie i cienkie, dość nisko osadzone, gładko przystają do policzków, kształt mają mniejwięcej trójkątny. Szyja długa, gładka, wolna od fałdów, najczęściej odmiennie od reszty ciała ubarwiona. Pierś wysoka lecz nie szeroka, grzbiet

długi, ku tyłowi cokolwiek zniżony, biodra i lędźwie szerokie i wypukłe, żebra długie, tylne blisko bioder osadzone. Ogon przy osadzie silny i gruby, w przedłużeniu coraz cieńszy pokryty bardzo krótkim włosem; czystej rasy pointer nigdy go do góry nie wznosi, lecz zawsze trzyma w równej linii z grzbietem. Nogi przednie kościste, muskularne, zupełnie proste, stopy okrągłe pokryte rogowatym naskórkiem. Włos krótki i miękki, barwa ciemno-żółta lub ciemno-kasztanowata, pomięszana z białemi łatami, rzadko bywa czarna. W ogóle cała postać pointera wydaje się dość delikatna, niemniej wszakże przedstawia siłę, wytrwałość, jako psa przeznaczonego do znoszenia ciężkiej i znojnej pracy.

Pointer z natury jest roztropny i pojętny, że jednak zdaje się cenić swoją wartość, przeto wymierzoną nań surowszą karę dość długo pamięta; dla tego przy układaniu młodych psów tej rasy pamiętać trzeba o łagodnem obchodzeniu się, a chociaż nauka potrwa nieraz dłużej, niż z innymi psami, to cierpliwość z pewnością wynagrodzoną zostanie, bo gdy pointer raz pojmie, czego od niego żądają, z pewnością na zawsze pamiętać o tem będzie.

Najwłaściwszem polem dla psów tej rasy są równiny pokryte po sprzęcie zbóż ścierniskiem, łanami kartofli, koniczyny i tatarki. Pointer ma wiatr niezmiernie delikatny, szuka w galopie, oddala się od myśliwego na znaczną odległość, zajmuje wielką przestrzeń pola, zakreślając przy pilnem szukaniu koła, albo krzyżując linije. Zwietrzywszy zwierzynę, staje od razu jak wryty i nie ruszając się z miejsca, czeka na przybycie myśliwego, a nie ma prawie przykładu, aby spłoszył to, co wystawia. Błotne polowanie nie jest odpowiedniem dla pointera, chodząc bowiem z natury galopem, na błotach jest krępowany, zwierzyna tam znajdująca się mniej go obchodzi, zdaje się nawet więcej męczyć niż na suchem polu.

Hodowcy psów tej rasy pamiętać powinni, że wychowanie pointera wymaga wiele troskliwości, żywiony powinien być właściwie i strzeżony od zaziębienia i wilgoci; przy zaniedbaniu opieki łatwo zapada na zdrowiu, ciężko przechodzi nosaciznę, która jeżeli w samych początkach spostrzeżoną i należycie leczoną nie będzie, psa za straconego uważać należy.

(Dokończenie nastąpi).

Ze wspomnień Wielkopolskich

napisał

J. Gniewosz.

Zapewne mało się znajdzie czytelników w Galicyi, którzy wiedzą, co znaczy właściwie „Oberamtmann“, bo gdyby wypadło przetłómaczyć dosłownie na język polski, to rezultat dałby „nadekonoma“. Oberamtmann, o którym mówić mamy, ujrzał po raz pierwszy światło dzienne nad Spreą w brandenburgskiej ziemi, zaaklimatyzowany został następnie z wielkiem powodzeniem nad Wartą, Notecią i Odrą w Wielkoplsce, a był to honorowy tytuł jeszcze wyższy, jak „c. k. Verwalterów“ w Galicyi. Oberamtmannem tytułował się rolnik Niemiec, który dzierżawił w Wielkopolsce dobra od rządu pruskiego. Oberamtmanni przybyli równocześnie do wielkopolskiej ziemi z „Regierungs“ i innymi „Rathami“ w przedniej straży szerzenia się niemieckiej oświaty w Poznańskiem. A że warunki dzierżawne zawierały wyjątkowe prerogatywy, to też każdy Oberamtmann porastał szybko w pierze, a wartość jego obliczona na talary, silbergrosze i fenigi, przedstawiała zwykle *einen gemachten Herrn*.

Otóż takim Oberamtmannem był pan Nordmann, który chociaż urodził się Niemcem, gdzieś tam w jednem z księstw Rzeszy, co to jak na mapie można się przekonać, przerzucisz je kamieniem od granicy do granicy, z duszy i serca nienawidził nie tylko Regierungsrathów, ale też wszelkie stworzenie, co się zowie Prusakiem. Co go sprowadziło na Oberamtmanna, o tem kroniki milczą, ale to jest pewne, że „Kulturträgerstwo“ jego było odrębne od wszelkich innych Oberamtmannów. Dosyć powiedzieć, że w kilka lat po objęciu dóbr rządowych na „Pałukach“ (tak się nazywa kilka powiatów w północnej części Księstwa Poznańskiego), zyskał sobie niepośledni mir nie tylko pomiędzy ludnością polską, ale i obywatelami Był to człowiek z wyższem wykształceniem umysłowem, znakomity rolnik, sprawiedliwy i pojmował, co to jest uczciwość obywatelska. Nie było wypadku, aby miał z sąsiadem obywatelem lub włościaninem, w ogóle z Polakiem proces; jeżeli znalazła się przyczyna do nieporozumień, nic nie zaniedbał, aby zgodnie sprawę zakończyć, chociażby z własną stratą, nakoniec był szlachetnym i nie odmawiał pomocy nieszczęśliwym. Inne jednak mieli o nim wyobrażenie pp. Landraci, Regierungsraci, Regencya poznańska i Sądy pruskie, a tak im się dawał we znaki, że byliby grubo zapłacili, aby go się z dóbr pozbyć, lecz w końcu wyszło urzędowe ministeryalne rozporządzenie, które opiewało: aby panu Oberamtmannowi Nordmannowi nie ważyła się Regencya poznańska za żadną cenę wydzierżawić nie tylko dóbr rządowych, ale nawet jednego zagona. Było to już jednak troszeczkę po niewczasie i musztardą po obiedzie, gdyż w tym czasie brzęcząca ocena pana Oberamtmanna, który przybył do Wielkopolski z kilku tysiącami talarów, wynosiła co najmniej dwa kroć sto tysięcy.

Pan Oberamtmann, jak to mówią, chorował szczególnie na Regierungsrathów, którym płatał dotkliwe figle, a bywało, że cała Wielkopolska brała się z tego powodu od śmiechu za boki.

Jakkolwiek pisząc niniejsze opowiadanie do „Łowca“, wypadałoby zachować tylko myśliwski koloryt, to jednak nie wolno powstrzymać się bez uczynienia uszczerbku pamięci pana Oberamtmanna, aby najgłówniejszego figla nie opowie-

dzieć, za co się zapewne szanowni czytelnicy łowieckiego cechu gniewać nie będą.

Gdy pan Oberamtmann obejmował klucz w dobrach rządowych w dzierżawę, oddawał mu takowe w fizyczne posiadanie Regierungsrath, który słynął z biegłości w tego rodzaju sprawach. Pan regierungsrath nie szczędził objawu przychylności i gruchał jak gołąbek obwożąc pana Oberamtmanna po folwarkach, a gdy już wszystko było załatwione, oznajmił, że jeszcze ma do oddania hutę szklanną, której jednak dalsze prowadzenie zostawiono do woli panu Nordmannowi. Huta wraz przyległościami, było to szatro, jakiego zapewne używali pierwsi Fenicyanie, gdy wynaleźli szkło, a w magazynach znajdował się zapas produkcyi tej huty, o którym ani pomyśleć nie było można, aby mógł być kiedy spieniężony. W inwentarzu pana Regierungsratha, który przedtem spisał, zapisana była każda koszlawa butelka lub kieliszek kiwający się jak pijak. Rzeczą naturalną, że pan Oberamtmann długo protestował i nie chciał przyjąć tego wytwornego towaru, gdy jednak pan Regierungsrath w żaden sposób nie chciał ustąpić i orzekł, że bez objęcia tego szkła po cenach oznaczonych, kontrakt dzierżawny nie może być przez rząd podpisany, pan Oberamtmann przystał nareszcie pod warunkiem, że pan Regierungsrath zamieści w kontrakcie dopisek, iż przy końcu dzierżawy resztki szkła, jakieby się z produkcyi Oberamtmanna znalazły, przyjęte będą przez dyrekcyę dóbr po takich cenach, jak powyższe." — *Es versteht sich von selbst* — odpowiedział pan Regierungsrath i zobowiązanie to wpisał. Po dwunastu latach, gdy pan Oberamtmann zadzierżawił już tymczasem inne dobra od rządu, kontrakt pierwszych dobiegł określonego czasu, do odebrania tych dóbr od Oberamtmanna przybył ten sam Regierungsrath i pomimo, że miał wielką ochotę dać się we znaki Oberamtmannowi, z którym już od dawna żył w nienajlepszej przyjaźni, nie mógł nic znaleść, do czego by się można było przyczepić. Gdy już prawie wszystko było oddane, pan Oberamtmann przypomniał, że jeszcze pozostaje huta szklanna, a więc jadą. Wyjeżdżając z lasu na polanę spostrzegają, że stoi tak samo stare szatro jak stało, ale na około niego spostrzega pan Regierungsrath zdziwiony, jakieś długie szopy chruściane, których dawniej nie było, budowa nie została zatwierdzona, bo o niej rząd nie wiedział, a więc czysty zysk, bo nie może być mowy o wynagrodzeniu pana Oberamtmanna. Aż się oczy zaiskrzyły panu Regierungsrathowi z radości, że będzie mógł dokuczyć landsmannowi wyrodnemu.

— Panie Oberamtmann, co znaczą te budynki; pierwszy raz je widzę; skąd się tu wzięły?

— Ej! to nic, panie radco, to tylko szopy prowizoryczne, w których są złożone resztki szkła, jakie wyprodukowałem a nie mogłem sprzedać, a których inwentarz będę miał honor na miejscu panu radcy przedłożyć.

Zmieniła się i przeciągła twarz regierungsrathowska, przygryzł usta i wytrzeszczył oczy na długie szopy, gdyż jak to mówią na Pałukach: „mądrej głowie dość pałką w łeb" — przeczuł nie bardzo korzystne rozwiązanie umowy dzierżawnej. Przeczucie nie omyliło pana Regierungsratha, bo gdy oficyalista hutniczy podał spis szkła znajdującego się w szopach a bynajmniej nie lepszego jak to, które pan Oberamtmann objął, i które dotąd w pierwotnym magazynie spokojnie spoczywało, różnica była tylko w cyfrach wartości, bo gdy tamte resztki wynosiły zaledwie tysiąc, nowa produkcya reprezentowaną była z górą przez dziesięć tysięcy talarów. Pan Regierungsrath nie tylko już zbladł na widok tego mianownika arytmetycznego, ale zaczerwienił się jak burak a następnie zsiniał. Zadrgały mu wargi a ręce zatrzęsły jak w febrze, nie mogąc utrzymać spisu inwentarza i z trudnością wyjąknął siląc się na wdzięczny uśmiech.

— *Herr Oberamtmann, das ist wohl nur ein Spass?*

— *Im Gegentheil, Herr Regierungsrath, das ist der vollste Ernst* — przyczem wskazał palcem na dopisek w kontrakcie, instalowany tamże własną ręką pana Regierungsratha.

Spuśćmy zasłonę na ten dramatyczny epizod żywota tak renomowanego i znanego z mądrości królewsko pruskiego Ratha, który wiele następnie musiał ucierpić, i jedynie poprzednim zasługom miał do zawdzięczenia, iż miano nad nim litość i nie odesłano go w strefy romantycznych piasków berlińskich zwanych „Hasenheide". Nic nie pomógł opór regencyi poznańskiej i ministeryum, gdyż po wyczerpaniu wszelkich wykrętów, wypłacono panu Oberamtmannowi Nordmannowi za resztki szkła z górą 10.000 talarów brzęczącą srebrną monetą.

Zrozumie szanowny czytelnik, że taki finał tej tragikomedyi nie mógł zjednać zbyt sympatycznych uczuć u pp. Regierungsrathów Oberamtmannowi Nordmannowi, który niestety jeszcze jedne dobra rządowe miał w posiadaniu na lat kilkanaście.

Od czasu wyżej opowiedzianej katastrofy szklannej, obydwie strony wypowiedziały sobie już nie wojnę, ale prawdziwie korsykańską wendetę. W regencyi pruskiej wybierano na ten cel najdzielniejszych i najsprytniejszych graczy Regierungsrathów, ale że Nordmann był stary wróbel i nie dał się łatwo łapać na plewę, to zwykle napaść kończyła się na naszem staropolskiem przysłowiu: „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma". Nie potrzeba mówić, że Kozakiem był zawsze Regierungsrath a Tatarzynem Oberamtmann Nordmann, i działo się na przykład tak: Nordmann był zagorzałym myśliwym, ale pojmował łowiectwo jedynie z szlachetnej strony. Już w owych czasach przepisy łowieckie, a mianowicie w dobrach rządowych, były bardzo ostre i biada temu, ktoby się był odważył w pewnej porze oprócz drapieżnej położyć inną sztukę zwierzyny. Pan Oberamtmann Nordmann przestrzegał tego zakazu nie tylko w swoim obrębie, ale pilnował sąsiednich i głośno wskazywał, jakim to obowiązkiem jest każdego obywatela, ekonomiczne poszanowanie tego, co stanowi ważny czynnik w dochodach kraju. Było to przy końcu zimy, ale w czasie, gdy już polowanie było zamknięte, jak zjechał do pana Oberamtmanna niespodzianie na kontrolę dóbr nowy egzemplarz Regierungsratha. Niespodzianka ta nie była jednak już od kilku dni tajemnicą dla Oberamtmanna, który przygotował się stósownie na przyjęcie tak szanownego gościa. Żona Oberamtmanna wraz z dziećmi wyjechała natenczas, a gdy Regierungsrath przyjechał, zastał Oberamtmanna, który zwykle był zdrów jak ryba, słabego w szlafroku i z obwiązaną twarzą. Po ukończeniu czynności, podczas obiadu, przy którym tylko Regierungsrath i gospodarz zasiedli, ostatniemu, jako choremu, postawiono tylko wasserzupkę i lekką potrawkę, natomiast gościowi smaczne i obfite potrawy z dodatkiem wybornych win. Gospodarz nie szczędził prynuki, a Regierungsrath nie był znowu zbyt wstrze-

mięźliwym; nareszcie, gdy podano pieczyste i Regierungsrath ujrzał czomber zwierzyny, naszpikowany, który niczem innem nie mógł być, jak tylko zającem, przelotny uśmiech tajemnej radości przebiegł po ustach dygnitarza. Zdawało się, że gospodarz nie dostrzegł tego uśmiechu, to też gdy go Regierungsrath dla pewności zapytał: jakie to pieczyste, gospodarz odpowiedział spokojnie i wymijająco: „zwierzyna“. Po obiedzie, gdy pan Regierungsrath odjeżdżając, siadł już do powozu, służący umieścił przy nim koszyk, który zawierał resztę czombra, butelkę wina i bułkę, w tych czasach bardzo pożądany prowiant na popasie. Z niewypowiedzianą wdzięcznością dziękował pan Regierungsrath gospodarzowi za tak uprzejmą troskliwość.

W kilka tygodni później odebrał pan Oberamtmann Nordmann z sądu powiatowego wezwanie z odpisem skargi, *recte* denuncyacyi wniesionej przez król. prusk. Regierungsratha, aby się stawił na termin i usprawiedliwił z polowania na zwierzynę w zakazanym czasie. Po przeczytaniu wezwania Oberamtmann nie tylko się nie zdziwił, ale przeciwnie zacierał ręce z radości i wpadł w najwyborniejszy humor. Niemniejsza radość panowała pomiędzy panami król. prusk. Regierungsrathami. W dzień naznaczonego terminu przez sąd wyjechał pan Oberamtmann do miasta powiatowego, zabrawszy oprócz furmana także strzelca, kucharza i lokaja. A sztab ten jego nie składał się z obcych żywiołów czyli Landsmannów, lecz z rodowitych wiarusów Pałuczan. Przyjechawszy, udał się w oznaczonej godzinie do sądu wraz ze swoim sztabem, co niemało zdziwiło pana Regierungsratha, który już się tam znajdował jako świadek i z niecierpliwością oczekiwał przybycia oskarżonego. Przywołano sprawę a po wstępnych formalnościach oświadczył sędzia panu Oberamtmannowi, że obwiniony jest, jakoby na dniu tym a tym, a więc w zakazazanym czasie polowano u niego, ubito zająca, który spożyty został przy jego stole. Pan Oberamtmann zaprzeczył stanowczo i żądał świadków na udowodnienie zarzuconego mu dokonania nieprawnego czynu. Do izby sądowej wszedł pan Regierungsrath i zeznał odwołując się na „Diensteid“, że w dniu tym a tym częstował go pan Oberamtmann przy stole pieczystem z z a j ą c a. Pan Oberamtmann zaprzeczył powtórnie, które to zaparcie się wywołało cichą wprawdzie, ale widocznie nieprzychylną dla oskarżonego sensacyę ze strony sędziego i obecnych. Pan Regierungsrath zmierzył go wzrokiem pełnym pogardy, bo czyż mógł się ktoś odważyć na taki *crimen laesae maiestatis*, aby nie ukorzyć się przed zeznaniem król. prusk. Regierungsratha i zarzucić mu fałsz! Pan Oberamtmann jednak nie zważał na te błyskawice oczów pełne pogardy i oburzenia i zażądał od sędziego, aby kazał przywołać jego świadków odwodowych. Zjawia się więc w sali sądowej kucharz Maciej, Wojciech strzelec i Stach lokaj. Sędzia zapytuje pierwszego to jest kucharza, po odebraniu naprzód przysięgi, co mu wiadomem na usprawiedliwienie pana Oberamtmanna?

Kucharz Maciej zeznaje: „Prześwietny sądzie! Dzień przed przyjazdem do nas pana Regierungsratha N. N. kum mój a strzelec u pana Oberamtmanna, zastrzelił lisa szkodnika i jak mu służba nakazuje, przyniósł takowego do dworu pana Oberamtmanna na okaz; wprawdzie psiawiara łapikura nie wiele wart, bo wylenialy przez lato, ale gdy żyje tylko z ludzkiej krzywdy, dobrze uczynił kum Wojciech, że „berdyję“ (ze słownika wielkopolskiego) ubił. Zdarzyło się, że w tym samym czasie doniesiono panu Oberamtmannowi o przyjeździe pana Regierungsratha; a że „gdy pan każe, to sługa musi“, zdjęliśmy z lisa z kumem skórę, mięso przerobiłem na zająca, wyszpikowałem, upiekłem na rożnie, a obecny tu lokaj Stach, poniósł t ę z w i e r z y n ę na stół, i jak mi mówił, pan Regierungsrath tak w niej smakował, iż nie tylko jadł przy stole, ale zabrał resztę na popas. Ani pan Oberamtmann, ani ja, ani nikt inny nie pokosztowaliśmy tego pieczystego.“

Można łatwo pojąć, jaki wyraz przedstawiały fizyognomie pana Regierungsratha, sędziego i obecnych, gdy na poparcie tego zeznania kum Wojciech wyciągnął z pod bekieszy lisią skórę i podniosłszy ją wysoko w ręku a potrząsając nią, dodał: „Proszę prześwietnego sądu! oto jest skórka z tego lisa, którego zastrzeliłem, a którego po upieczeniu przez kucharza Macieja, zjadł pan Regierungsrath.“ Lokaj Stach z taką samą szczerością zeznał, że tego samego lisa upieczonego a nie inną zwierzynę podał na stół i widział na własne oczy, że tylko sam pan Regierungsrath z wielkim smakiem zajadał. Zapanowała cisza ogólna, pośród której fizyognomia pana Regierungsratha przedstawiała nie do opisania ciekawą grę uczuć wewnętrznych. Cisza ta trwała długo, nareszcie, gdy sędzia wzrokiem pełnym wyrzutu zdawał się pytać pana Oberamtmanna, jak się mógł odważyć karmić dostojnego gościa tak nieszlachetną zwierzyną? Pan Oberamtmann Nordmann przyłożywszy rękę do serca na znak skruchy, odpowiedział: „Tak jest, prześwietny sądzie! z mego rozkazu podano na stół pieczonego c h y t r e g o l i s a, ponieważ chciałem się przekonać, czy to prawda, że król. pruski radca regencyjny podejmowany w domu gościnnie, potrafi zejść do roli denuncyanta?“ Resztę następstw tego epizodu sądowego o „chytrym lisie“ niech sobie sami szanowni czytelnicy raczą dospiewać.

Inny figielek pana Nordmanna doczekał się niemniejszego rozgłosu po wielkopolskiej ziemi, a dotyczył on pruskiego „Junkra“, który był baronem i zięciem jednego z Regierungsrathów w Poznaniu. Junker ten sąsiadował z panem Nordmannem, dzierżawił tak samo klucz rządowy i był w dodatku sławnym „Sportsmannem“. Psiarnia jego złożoną była z kilku smyczy najcenniejszych i sławą okrytych chartów, tak przynajmniej głosiła stugębna fama. Pan baron służył poprzednio w wojsku i był „leitnantem“ w gwardyi, a wiadomo, że taki panicz uważa się za wyższą istotę od zwykłych śmiertelników, czuje w sobie coś królewskiego oraz żąda, aby społeczeństwo ustępowało mu na każdem miejscu z drogi.

O ile Oberamtmann przestrzegał łowieckich praw, o tyle baron wyłamywał się z pod tychże w tem przekonaniu, że takowa takiego dygnitarza jak on, nie obowiązuje. Nie tylko że granic cudzych nie szanował, ale charty jego puszczone samopas, goniły po sąsiednich polach.

Pan Oberamtmann, nie chciał się zadzierać z sąsiadem, więc usiłował nakłonić go zgodnie i uprzejmą prośbą, aby psy trzymał na smyczy. Nie pomagało i chwytanie psów, poczem ostrzegł barona listownie, iż gdy wszystkie uwagi i napomnienia nie skutkują, zmuszony będzie z psami postąpić podług doraźnego wyroku.

— *Das möchten wir doch sehen* — bąknął baron, a następnego dnia kilka sfór chartów pędziło znowu za szarakiem na widnokręgu siedziby Oberamtmana.

— Ha! kiedy chce, niech ma — powiedział pan Nordman i wydał rozkaz, aby psy schwytano, które następnie kazał króciuteńko — anglezować.

Pan baron wpadł w niepohamowany gniew, widząc w ten sposób zeszpecone swoje sławne charty i zaprzysiągł zemstę. Do sądu nie skarżył, lecz czekał sposobnej chwili, aby panu Oberamtmannowi odpłacić pięknem za nadobne, do czego się niedługo nadarzyła sposobna okoliczność.

Pan Oberamtmann obchodził każdego roku bardzo solennie dzień swoich urodzin, na który to dzień z bliska i z daleka zdążali przyjaciele, a nawet wielu Wielkopolan. Pan Oberamtmann, który zwykle żył skromnie, w dniu swych urodzin przyjmował nie tylko gości, nie z niemiecką, ale prawdziwie staropolską gościnnością, ale nawet służbie i włościanom wyprawiał sutą ucztę. Pomimo jesiennej pory dzień był piękny i ciepły, liczni goście po obiedzie zasiedli pod obszerną werandą, gdzie im podano czarną kawę, a służba przeprowadzała pod gankiem konie chowu Oberamtmanna i inny wyborowy inwentarz, z jakiego składało się jego gospodarstwo. W tej to chwili zajechały na dziedziniec dwa wozy kryte, jakich się używa zwykle w Wielkopolsce do przewożenia baranów, a konno obok tych wozów jechał stary kapral od huzarów pruskich, okryty krzyżami i medalami. Kapral ten pełnił przy panu baronie służbę *Bereitera*, kamerdynera i inne.

Wozy stanęły w pobliżu bramy wjazdowej, ale tak, że wszyscy goście zmuszeni byli na nie zwrócić uwagę. Huzar podjechał pod ganek i nie zsiadając z konia, wręczył list Nordmannowi, który przeczuwając jakąś niezwykłą sprawę, list odebrał, otworzywszy go szybko, czytając, zmarszczył się. Mars ten jednak przeminął jak błyskawica i uprzejmie odpowiedział:

— Bardzo dobrze; proszę powiedzieć panu baronowi, że życzeniu jego stanie się zadość — poczem zawołał na swego pomocnika gospodarczego i wydał mu na ucho rozkazy.

Huzar widocznie spodziewał się innej odpowiedzi, lecz gdy Oberamtmann nie dał niczem poznać, aby go treść listu rozgniewała, nie pozostało mu nic innego, jak salutować i odjechać ku bramie.

Służba Oberamtmanna odprowadziła wozy na podwórze gospodarcze i tam zdjęła ładunek, jaki przywiozły.

Gdy niektórzy goście domyślając się czegoś lub będąc wtajemniczeni zapytali gospodarza, co te wozy przywożą, ten wyjął z kieszeni list i dał ciekawym do przeczytania. List opiewał jak następuje:

„Wielmożny pan Oberamtmann N. N.

Przekonawszy się o niezwykłej umiejętności pana Oberamtmanna i o szczególnym jego talencie anglezowania psów, ośmielam się korzystać z tej biegłości i niniejszem przesyłam sztuk 60 (wyraźnie sześćdziesiąt) z prośbą, abyś i na tych egzemplarzach raczył dokonać operacyi. Wszelkie koszta i fatygę nie omieszkam wynagrodzić, na co upraszam o nadesłanie mi rachunku.

Z poważaniem

baron de X. X.,
oficer gwardyi Jego ces. król. Mości.“

Po przeczytaniu objawiło się ogólne oburzenie, czy u wszystkich szczere, to znowu inne pytanie. Byli i tacy, którzy twierdzili, że po takiej obeldze winien dać baron honorową satysfakcyę. Pan Oberamtmann jednak był w najlepszym humorze i oświadczył, że nie widzi powodu do gniewu i obrazy, oraz nie pojmuje, dla czego by nie miał oddać sąsiedzkiej przysługi, jakiej baron żąda.

Psiarnia, którą nadesłano do anglezowania, składała się z najróżnorodniejszych ras, zacząwszy od proletaryatu mucków, brysiów wychowanych pod słomianą strzechą, pilnujących bydła i owiec, aż do szlachetnej arystokracyi gończych Grzmilasów, Śpiewaków, chartów Doskoków i szlachetnych angielskich wyżłów „Neronów“, „Plutonów“. Jak się później pokazało, pan baron rekrutował po całej prowincyi tę armię różnorodną, za pomocą której przypuścił atak do pana Oberamtmanna.

Następnego dnia, gdy się goście rozjechali, strzelec Stach na rozkaz Oberamtmanna zawezwał operatora nadwornego w osobie owczarka, który podczas służby wojskowej był „Burschem“ *recte* forysicem przy weterynarzu pułkowym i anglezowanie odbyło się po wszelkiej formie, poczem pacyenci umieszczeni zostali w improwizowanym na ten cel szpitalu. Gdy dozór był dostateczny i odpowiednie karmienie, zagojenie blizn odbyło się prawidłowo, chociaż psia rzesza z podziwieniem się przypatrywała tej niezwykłej praktyce równouprawnienia.

Po kilku tygodniach był również niemały zjazd gości u pana barona. Otóż pan Oberamtmann uznał tę chwilę za stósowną, aby pacyentów znajdujących się w jego klinice odesłać wraz z rachunkiem szczegółowym kosztów operacyi, pielęgnowania i utrzymania, co razem obliczone po 3 talary za sztukę, wynosiło sumkę 180 talarów. Naturalnie odstawa poleconą została również nietykalnemu pełnomocnikowi, którym był eks-wachmistrz od kirysyerów, stary sługa Oberamtmanna.

Tak samo jak u pana Oberamtmanna, zdarzył wypadek, że i u pana barona towarzystwo męskie znajdowało się na dziedzińcu przed dworem, gdy zajechały furmanki Oberamtmanna i w chwili, kiedy stary kirysyer wręczał list salutując, fornale wypuścili z wozów legię anglezowaną. Z pospiechem nie do opisania obskoczyły barona stęsknione charty, gończe i wyżły, chociaż wszelkie ich usiłowania objawiania radości podług psiego zwyczaju, wywijaniem ogonami, sprawiły najzupełniejsze *fiasco*.

Pan baron zczerwienił się, zsiniał i trząsł od gniewu jak w paroksyzmie febry a goście nie umieli podzielać oburzenia i wybuchnęli jakby na komendę homerycznym śmiechem.

Stary wachmistrz pomimo dekoracyi, jaką nosił na piersiach, uznał za stosowne skorzystać z chwilowego zamieszania i wykonał szybki, strategiczny odwrót ku domowi. Wprawdzie znajdując się już na wozie po za bramą usłyszał komendę: *Haltet diesen Halunken!* — ale zaczem nieprzyjaciel wsiadł na koń, wachmistrz był już z furmankami daleko.

Pan baron zapominając o zobowiązaniach zawartych w liście do pana Oberamtmanna, nie myślał wcale wrócić talarów, na jakie opiewał rachunek. A że znowu pan Oberamtmann nie poczuwał się do darowizny, wniósł skargę do sądu. Pan baron odpowiadając uczynił zarzut, że pan Oberamtmann nie posiada patentu i nie opłaca podatku zarobkowego za anglezowanie psów, gdy jednak rzeczoznawcy i sąd orzekli, że to jest *ein freies Gewerbe*, nieobjęte żadnym paragrafem król. prusk. Landrathu, sąd przychylił się do skargi i skazał pana barona na zapłacenie kosztów, a pan Oberamtmann przekazał te pieniądze dla instytutu moralnie zaniedbanych dzieci.

Mógłbym na tych próbkach zakończyć opis figielków pana Oberamtmanna, lecz gdy każda biesiada kończy się

zwykle deserem, tóż i ja nie mogę pominąć tego chwalebnego zwyczaju, aby nie podzielić się z czytelnikami figielkiem, który panu Oberamtmannowi Nordmannowi przyniół swego czusu niepospolity rozgłos w wielkopolskiej ziemi.

W dzień królewskich imienin dawał prezydent regencyi bydgowskiej obiad, na który zaprosił wszystkich dygnitarzy urzędowych i wielu obywateli. Przy stole rozpoczęto pogawędkę o wychowaniu dzieci, a jeden z dygnitarzy wpadłszy na niefcrtunną myśl, zapytał obecnego pana Oberamtmanna, jaki kierunek wychowania myśli nadać trzem swoim synom.

— Mam trzech synów — odpowiedział — z których każdy ma odmienne usposobienie i zdolności. Najstarszy jest to chłopak dziarski, rozwinięty umysłowo, zapatrujący się zdrowo na obowiązki żywota, myślący a przedewszystkiem liczy się z czasem. Tego przeznaczam, na co się chętnie zgadza, bo pojmuje doniosłość obowiązku obywatelskiego, do nauki gospodarstwa i będzie dobrym rolnikiem. Drugi, poczciwy chłopak, serce szlachetne, krew wre w nim i kipi, trochę zawadyjaka i nieraz mi już narobił kłopotu, tego oddaję do wojska i mam nadzieję w Bogu, że nie przyniesie wstydu nazwisku, które nosi. Trzeci, niestety, nie sprawia mi tej radości, jak pierwsi dwaj; jest to umysł tępy, bez wszelkiej bystrości, uczy się jedynie machinalnie, niemal jak papuga, słowem, zakrawa na idjotę. No! cóż robić? Czy tak, czy siak szkoły musi skończyć, potem będzie słuchał „kammeratów", a w końcu — — zostać może Regierungsrathem.

Wrażenie, jakie to orzeczenie na biesiadnikach wywarło, szczególnie na licznem gronie Regierungsrathów, z którymi przez długie lata stykał się pan Oberamtmann Nordmann, niech sobie czytelnik raczy w duszy dośpiewać.

Hodowla ryb i raków na małych stawach.

Nie ma prawie wioski, w którejby obszar dworski nie posiadał jednego lub kilka małych stawków, które dla tego właśnie, że są zbyt szczupłych rozmiarów, nie bywają zarybiane i nie dają właścicielowi żadnego pożytku. Jednakże stawki takie, nawet z przestrzenią 0·2 hektara (1 hektar = 1·737 morg.) użytymi być mogą do hodowli ryb lub raków, przynajmniej na własną potrzebę.

Urządzenie takiego drobnego gospodarstwa rybnego lub raczarni, opisuje Fr. Weiss w „Wien. land. Zeit." nr. 33 r. b.

Pierwszym warunkiem jest stały przypływ i odpływ wody, następnie dostateczna głębokość przynajmniej w pewnych miejscach stawku, by woda w zimie nie wymarzała do gruntu. W braku tych zagłębień, należy wykopać obok odpływu rów lub dół około 2 m. głęboki i wycinąć nad nim w zimie przyręble, wkładając do takowych wiechcie słomy dla zapewnienia przystępu powietrza.

Dla stawków z gruntem gliniastym najstósowniejsze są karpie i liny, następnie karasie i węgorze; dla stawów nieco większych, z obfitym dopływem wody, szczupaki.

Karp jest niewątpliwie najlepszą rybą w gospodarstwie stawowym, gdyż daje smaczne mięso, rośnie szybko, jest wytrwały i żywi się robactwem, roślinnością znajdującą się w stawie, odpadkami z kuchni, ziemniakami gotowanemi i t. p.

W razie, jeżeli dopływ do stawu przynosi wiele namułu, szczególnie podczas większych deszczów, to lęgnące się w nim robactwo wystarcza samo do wyżywienia stosownej ilości karpi. Jeżeli jednak z jakichkolwiek powodów wypadnie dodawać żywności, to należy udzielać jej w niezbyt wielkich ilościach i nie ponawiać dawki, dopokąd poprzednia nie zostanie zjedzoną. Dobrze jest odmieniać żywność, by przekonać się, której najwięcej pożądają. Główną jest rzeczą dobry, prędko rosnący narybek. Jeżeli takowy ma 10—15 cm. długości, to do stawku mającego $^1/_3$ hektara powierzchni należy dać nie więcej jak 300 sztuk; lepiej nieco mniej, gdyż rosną prędzej. Najstosowniejszy czas do zarybiania jest Marzec i Kwiecień, gdy już nie ma obawy mrozów.

Przy zarybianiu stawków samemi linami rachuje się o 50—60 sztuk narybku więcej. Lin zadowala się prawie każdą wodą wprowadzającą namuł. W nieco większych stawkach można dać liny wspólnie z karpiami, gdyż hodowcy utrzymują, iż one poruszają namuł, szukając robaków i tym sposobem przyczyniają żywności karpiom. W Anglii, mianowicie w Berkschire, obfitujące w stawki, rachują przy wspólnem zarybianiu karpiami i linami, 100 sztuk na $^1/_3$ hektara, a wyławia się je zupełnie co cztery lata.

O karasiach, jako mniej pożytecznych, wspominamy tylko, iż na powyższej przestrzeni może ich być do 600 sztuk, wymagają jednak obfitej żywności, gdyż inaczej nie rosną.

Szczupaki opłacają się tylko w większych i głębszych stawach, w których żywią się płotkami i innemi małemi rybami; w braku takowych nie rozwiną się należycie.

Węgorz może przebywać w takich nawet małych staweczkach, w których żadna inna ryba żyć nie jest w stanie. Stawki z węgorzami muszą jednak być zamknięte wyższemi brzegami prawie hermetycznie, gdyż najmniejsza szpara lub dziura wystarczy im do ucieczki, jeżeli miejsce nie jest upodobane. Żywią się one robakami, mięsem, małemi rybkami, roślinnością, zielonym i gotowanym grochem, słowem wszystkiem co dostaną.

Dobór gatunku ryby zależeć powinien w części i od właściwości wody. Jeżeli ona jest białą a stawek pokryty roślinnością, to stosownym jest dla karpi; wody mętne odpowiedniejsze dla lina i węgorza.

Jako zasadę trzeba przyjąć, by dawać narybku raczej mniej jak za wiele, gdyż przy zbytecznej jego liczbie brakuje żywności, co tem więcej jest szkodliwe, iż ryby wygłodzone nie łatwo poprawiają się i dają mięso niesmaczne. Wpływa na to i brak powietrza, oraz miejsca do poruszania się.

*

Narybek trzeba brać z miejsc pewnych, dobrze wyrośnięty i kupować na wagę.

Co się tyczy hodowli raków, doradza p. Weiss wybierać takie stawki, których dno pokryte jest szuwarem, piaskiem i wielkimi kamieniami, brzegi zaś są podziurawione i porośnięte krzakami z wystającymi pod wodą korzeniami. Brzegi muszą być tak urządzone, by raki ani przy dopływie, ani też przy odpływie wody nie mogły uciec. Do rozpłodu najstosowniej dobierać raki 5—7-letnie, ważące około 20—30 gr. Najlepszym do tego czasem jest Marzec i Kwiecień, gdy samiczki mają jeszcze ikrę, po której też łatwo je poznać można. Do 6 samiczek daje się 4 samce. Na $^1/_4$ morgową przestrzeń daje się 50—70 par raków. Przy sprowadzaniu raków, choćby tylko z kilkogodzinnej odległości, przestrzegać należy, by nie wkładać je raptownie do nowej wody. Najlepiej jest puszczać je na plecionkę z wikli, obciężoną o tyle kamykami, by woda przepływała po wierzchu nie grubiej jak na pół cala. Tym sposobem przenika je woda stopniowo, poczem udają się sami do głębi i kryją pod kamienie i korzenie. Następnie pozostaje już tylko staranie, by strzedz je przed wydrami i szczurami wodnemi, jak oraz obfite karmienie burakami, kapustą, harbuzami, odpadkami mięsa, nieżywemi żabami, bezwartościowemi rybami i t. p. Młode wyłażą z jaj zwykle w Maju.

Hodowanie raków wspólnie z rybami nie jest stosowne, gdyż jedne przeszkadzają drugim.

Daleko dokładniej opisuje hodowlę raków Fritz Püchner w tymże piśmie nr 15. Widać, że jest doświadczonym hodowcą i podaje szczegóły z własnej raczarni.

Opuszczając cały ustęp odnoszący się do historyi naturalnej, przytaczamy z niego tylko oznaki, po których odróżnić można samca w każdej porze roku. Pancerz tułowa i nożyce są u niego silniejsze, głaszczki (tak zwane wąsy) dłuższe i grubsze przy osadzie, ogon nieco węższy niż u samicy i bez ząbkowatego obramowania po bokach, przedewszystkiem zaś koniec ogona przy pierwszym pierścieniu zaopatrzony jest u samca dwoma spiczastemi narośłami, których samica nie posiada.

P. Püchner utrzymuje dalej, że rak jest wielkim domatorem i nie opuszcza miejsca, w którem mu jest dogodnie. Lubi on czystą, bieżącą, obfitą w kwasoród wodę. Porost roślinny jest pożyteczny dla raka, daje mu bowiem schronienie, częściowo i pożywienie, doprowadzając oraz kwasoród do wody. Drobne robactwo wiszące na tych roślinach, służy za pożywienie dla małych raczków.

Zrzucanie starej skorupy odbywa się u raków po dwakroć do roku i jest im bardzo uciążliwe; nowa powłoka tworzy się w przeciągu 8—10 dni, a materyał ku temu wyrabia organizm ich zawczasu i jest nim tak zwane oczy lub kamień raczy.

Celem prawidłowej hodowli radzi p. Püchner założenie wylęgalni w środku strumyka, zabezpieczając ją od większej wody przeprowadzeniem bocznego ramienia, odprowadzającego zbyteczną jej ilość. Basen do tego ma mieć kształt nieco owalny, zakończony ostro przy dopływie i odpływie wody. Głębokość jego powinna być zastosowana do stanu wody w ten sposób, by nie opadała niżej 0·75 metr. Do połowy głębokości należy wypełnić go nieregularnymi kamieniami, o ile być może wapiennej natury. Środek basenu pozostawia się bez kamieni, wysypując dno piaskiem. Spiczasty koniec basenu obrócony ku dopływowi wody, zaopatruje się palem wbitym mocno w ziemię, do którego przybija się deski idące po bokach basenu i tworzące trójkąt, a to celem rozdzielenia wody na obie strony w rodzaju korytarza dla obchodzenia w około środkowego basenu. Zewnętrzna ściana tego 30 cm. szerokiego korytarza może być wymurowana z nieregularnych kamieni, służących jako gniazdo dla raków, co jednak przy gliniastym gruncie może być zbytecznem. Tym sposobem cały stawek czyli raczarnia, składa się z trzech części: krągłego środka, niezapełnionego kamieniami lecz wysypanego piaskiem; podługowatego, zagłębionego basenu, wypełnionego kamieniami do połowy głębokości; nareszcie z korytarza idącego w około tego basenu. Przypływ i odpływ wody do stawku regulowany jest szluzami, składającemi się z kilku poprzecznych części, by można wyjmować je od góry, unikając wytworzenia dołem prądu, któryby mógł porwać młode raczki z basenu. Ocienienie stawku krzakami jest pożądane. Urządzenie powyższe przeznacza się dla 1500—2000 sztuk raków.

Najstosowniejszy czas do obsadzania wylęgalni rakami, jest — podług p. Püchnera — Październik i początek Listopada. Używa się w tym czasie rozpłodników już wyrośniętych i to z wody o ile być może podobnej własności, jaką mamy u siebie, najlepiej z tegoż samego ruczaju.

W Listopadzie i Grudniu odbywa się wytwarzanie jaj (ikry raczej) w ten sposób, iż samiczki kładą się w obranych przez siebie miejscach na grzbiecie i wypacają lepki płyn, rozdzielając takowy na dolnej części ogona. Powstają z tego jaja ugrupowane gronka po 10—12 sztuk, dochodzące do liczby 100—120 u jednej samicy.

Przed dopełnieniem powyższej ważnej czynności, przygotowują raki swe mieszkania zimowe, wykopują takowe nożycami i wysuwają ziemię ogonem. Kształt tych jam jest okrągły, a wielkość zastosowana do objętości ich tułowia. Po zapłodnieniu zajmują oba rodzaje swą jamę, włażąc do niej naprzód ogonem i mając do obrony nożyce w pogotowiu. Tu przestają już pożywiać się, oddają się snowi zimowemu i wygrzewaniu ikry.

W Kwietniu poczynają raki opuszczać chwilowe swe kryjówki. Około Maja wykluwa się nowe pokolenie, trzymając się jeszcze matek przez 14 dni za pomocą nitek, na których ikra umocowaną była. Dopiero po owym czasie wychodzą samce stale z leż zimowych i rozpoczynają czynne życie, szukając pożywienia, którego przez całą zimę pozbawione były. Młode raczki towarzyszą już wolno swym matkom, przy najmniejszem jednak niebezpieczeństwie szukają schronienia pod jej ogonem. Stopniowo opuszcza samica swe pokolenie, umieszczając je w bezpiecznych skrytkach pod kamieniami. Jest to najwłaściwszy czas do wybrania starych raków z wylęgalni, celem sprzedania lub przeniesienia na inne miejsce, gdyż wkrótce potem rozpoczyna się zrzucanie skorupy, wywołując następnie tak wielką żarłoczność, iż nawet własne ich pokolenie nie jest przed nią bezpieczne.

Młode raki rosną szybko i zrzucają co sześć tygodni skorupę, która jednak jest miękką i podlega łatwo uszkodzeniu przez ich wrogów. Należy zatem strzedz je przed takowymi i żywić obficie rozmaitymi odpadkami kuchennymi, kawałkami ryb i żab oskurowanych, wnętrznościami zabitego drobiu i t. d.

Dopiero po sześciu miesiącach wzmacniają się młode raki o tyle, iż przy końcu Września lub na początku Paź-

dziernika można przenieść je na miejsce przeznaczone do dalszego wzrostu. W tym celu spuszcza się woda z wylęgalni, wybrane zaś raki przenosi lub przewozi się w naczyniach napełnionych świeżą wodą i trawą, unikając ile możności wszelkiego wstrząsania. Sprzedaż rozpłodku w okolicy, w której jest poszukiwanym, przynieść może znaczny dochód.

Do zupełnego wzrostu potrzebuje rak ośm lat; do użytku służyć może po czterech latach, w którym też czasie poczyna składać pierwsze jaja.

Łapanie odbywa się najłatwiej za pomocą wiązki z cierni, do której wkłada się przynętę. Wkłada się ją wieczorem, a wydobywo rano razem z rakami, które czują się w niej bezpieczne. Łapanie ręką w dziurach psuje takowe i uszkodza raki.

Rozsyłanie raków do użytku na kuchnię, odbywa się bez wody w naczyniach opatrzonych dziurkami dla przepuszczania powietrza i wypełnionych warstwami pokrzywy świeżej, skropionej nieco wodą.

Zabicie raków przed gotowaniem uskutecznia się przez zalanie kipiątkiem zmieszanym z mocnym octem.

KORESPONDENCYE.

Leśnictwo i łowiectwo, to bracia siamscy — życie i śmierć im wspólna. Łowiectwo bez lasu jest czczem, jałowem, bo cóż to za polowanie bez sarn, dzików, niedźwiedzi, jeleni? Czemże byłoby leśnictwo bez zwierzyny — chyba miastem, pozbawionem mieszkańców. Takie myśli roiły mi się w czasie podróży koleją z Przemyśla do Rymanowa. Nie wiele wprawdzie można dostrzedz z okien wagonu, ale ja znałem zdawna doskonale ową okolicę, więc zmian dopatrzeć zdołałem — zmian zaprawdę nie pocieszających. Gdzież się podziały lasy Bybła, Borszczowic, Rożubowic, Aksmanic i w znacznej części Sierakowiec? Pokrywały one niegdyś pasmo gór stromych kilkudziesięciu-milowej przestrzeni. Piękne to były dębowe, bukowe i jodłowe lasy! Dziś tam sterczą nagie, jałowe góry. Czy same się te miejsca zagają — wątpię. „Kiedy bieda las do żyda", możnaby powiedzieć, parafrazując znane przysłowie. Opłakany stan ekonomiczny w ogóle jest powodem tępienia lasów.

Na skrzydłach pary pędzimy dalej ku stronom, gdzie się rozpoczynają znaczne niegdyś kompleksa lasów rządowych czyli kameralnych na przestrzeni, od Starzawy począwszy ku Krościenku, Berehom, więcej jak czteromilowej, wzdłuż obu brzegów rzeki Strwiąża. Tu piękne, stare istniały lasy, przeważnie jodłowe i świerkowe. Kultura też w tych lasach była staranna. Ile to tam niegdyś bywało zwierzyny? Na to zapytanie niechaj chyba odpowie nadleśniczy emeryt — jeżeli jeszcze żyje — p. Swaton. Jakże się dziś przedstawia przestrzeń tych lasów? Jak głowa człowieka po silnym tyfusie. Miejscami zupełnie nago, gdzieniegdzie ledwie kosmyki pozostały. Gospodarstwo w lasach rządowych powinnoby być wzorowem. Wprawdzie warzelnia soli w Lackiem ma podobno krocie pochłaniać sągów, ale przecież ta warzelnia nie od dziś istnieje w owych lasach u brzegów Strwiąża, a jednak nie była powodem tak gwałtownego trzebienia drzewa Chyba że ona do tego stopnia się rozwinęła, że dziesięćkroć więcej pochłania lasu. A cóż będzie za lat kilkadziesiąt?

Na dworcu w Chyrowie, czekając minut kilkanaście, zanim pociąg w stronę Węgier wyruszy, ujrzałem wśród tłumu postać, której powierzchowność już wskazywała, że ona nie nasza. Na jej widok przypomniał mi się wiersz Heinego:

Cigaren tragen sie im Maul,
In der Hosentasch die Händ,
Auch ihr' Verdauungskraft ist gut!
Wer sie nur selbst verdauen könnt!

W istocie z olbrzymiem cygarem w ustach, z rękami w kieszeniach, chodził nadęty ów pan, wszystkich potrącając. Zadzwoniono poraz trzeci, wsiadam do wagonu, a za mną ów jegomość. Nie obiecywałem sobie wiele z nim przyjemności. Niestety był gadatliwym, wnet więc rozpoczął rozmowę, krytykując ostro gospodarstwo rolne i leśne w Galicyi — wszystko było u niego *unter dem Hund* — a wysławiając pruskie. „Byłem — mówił — rządzcą majątku jednego z panów w Galicyi. Na polowaniach w górach Sanockich, na które mnie szlachta gwałtem ciągnęła, widziałem tylko nieporządek i brak zwierzyny. Po polowaniu, na którem najczęściej nic się nie ubiło, a strzelam doskonale i po naszemu kulą, okarmiano mnie i upajano do przesytu. Nie tak to u nas, wyście jeszcze napół dzicy, trzeba was kultywować." — „Widziałem ja — przerwałem mu — owych kulturträgerów, jak np. Niemca właściciela Skorodnego, który dla zapłacenia długów musiał sprzedać ów majątek, złożony z kilku folwarków i pozostał mu tylko koń i kulbaka, na którym dostał się do Przemyśla, gdzie sprzedawszy ową pozostałość, umknął do swej ojczyzny. Jeżeli pan sobie życzy, mogę więcej takich zacytować przykładów." Zdekoncertowany odparł, że w tej istnej Azyi żyć i pracować nie warto, a ja przypomniałem sobie bardzo odpowiedni tu wiersz:

Żyw psa, on cię wiernie broni,
Koń cię obje — strzeż się koni;
Ale nie paś nigdy człeka,
Bo cię obje i obszczeka.

Prusak przybył do Galicyi w celu założenia kopalni nafty na wielką skalę. W Ustrzykach pozbyłem się go, udzielając mu na pożegnanie przestrogi, by na kopalni nafty tak nie wyszedł, jak jego rodak na Skorodnem.

Pilnie rozpatrywałem się dalej w okolicy, którą przebywałem. Górska to przestrzeń, wszędzie lasy, również znacznie przetrzebione, ale zato gęsto rozsiadły się tartaki parowe. Wszędzie nagie świecą zręby. Otóż i Sanok, a za nim owe słynne Podole Sanockie. Śliczna i urodzajna to okolica. Płaszczyzna jakby w ramki górami ujęta, prześlicznie się przedstawia z swemi gęsto rozsianemi wsiami, które sadami otoczone, wydają się zdala jakby wdzięczne gaje lub dąbrowy. Niektóre z wsi Sanockich wcale nie posiadają lasu. Położenie lasów Sanockich górskie. Obfitować one muszą w zające, sarny, lisy i dziki. Ostatnie w porze jesiennej, zwłaszcza gdy w górach bukiew nie obrodzi, głodem parte dążą w te chlebne

strony na kartofliska i oziminne rżyska, gdzie łatwiej znaleść pozostały ziemniak lub kłosek, niż na chudych jakby wygolonych ścierniach owsianych w rodzinnych górach. W tej mierze idą za przysłowiem: „Większe bogacza ostatki — Niż biedaka dostatki.“

Podole Sanockie znajduje się pod względem łowiectwa w nader szczęśliwem położeniu, posiada bowiem oprócz wyżej wymienionej czworonożnej zwierzyny, także skrzydlatą. Kuropatwy, przepiórki po obszernych łanach, a jarząbki w lasach przebywają. Nie brak też zapewne bekasów, dubeltów i słonek. Tych w dogodnej do ciągu, bo od południa ku północy otwartej okolicy, wiosną i jesienią nie mała liczba przeciąga.

Czy powyższe moje spostrzeżenia i uwagi są słuszne, niech miejscowi myśliwi osądzą, stwierdzając je lub obalając, o co uprzejmie upraszam. *Al.*

KRONIKA.

Rzecz dziwna, jak nieraz najzmyślniejsze zwierzę, jakiem bezsprzecznie jest lis, spisze się głupio. Nie dawno polując na błotach w Czerlanach, dostrzegłem pod trzciną dwa lisy, które niezważając na moją dosyć gęstą do kszyków kanonadę, w oddaleniu jakich 300 kroków igrały z całą swobodą. Pomyślałem: widocznie młode to muszą być durnie, nie liczące się jeszcze z niebezpieczeństwem. Kiedy już mijałem ów kąt, w którym odgrywała się ta miła dla myśliwskiego oka scena, jeden z nich dostrzegł nas i przywarował, co ma się rozumieć było dla mnie wystarczającą wskazówką, abym się ich podchodzić nie kusił. Ale Wasyl, mój aporter kszyków, innego był zdania i począł mię namawiać, abym próbował szczęścia. Przyznam się, że nie wielką miałem po temu ochotę, zwłaszcza, iż jeden tylko znalazłem w torbie nabój ze śrótem nr. 8, wszystkie zaś były naboje na kszyki, śrót nr. 14. Minąwszy jednak ów kąt i straciwszy lisy z oczów, zdążam co tchu na przełaj ku trzcinie, po pod którą następnie, korzystając z zakrzywień linii, począłem podchodzić. Nie łatwe to, wymagające wiele cierpliwości, było zadanie, ponieważ grząskie tu błoto, dużo kępinek i ścierń świeżo zżętej trawy, utrudniało pochód. Grzązłem więc i potykałem się co chwila, w dodatku kłuła dotkliwie me stopy przez rozmokłe chodaki trzcina. Od czegoż jednak cierpliwość i zapał myśliwski, zwłaszcza, gdy chodzi o lisa! Minąwszy tedy kilka już zakrzywień, stanąłem wreszcie, lecz niestety rozczarowany, w miejscu, w którem spodziewałem się zastać owe lisy. *Nec locus!* Niezadowolony więc odwracam się do kroczącego w moje tropy Wasyla i gestem ramienia oznajmiam mu nieudałość zamiaru. Wasyla atoli nie tak łatwo w czemkolwiek przekonać, uparcie też sygnalizuje mi ręką, wskazując, abym się dalej podkradał. Lecz ja zbyt umęczony mięszaniem błota i zasapany, nie słucham jego rady, jeno robię kilka kroków w bok i wygięty w prawo zaglądam, ażali za następnym kolanem trzciny nie ujrzę celu mych zabiegów. W istocie, spostrzegam przez rzadką w tem miejscu trzcinę stojącego lisa. Jedno mgnienie oka i padł strzał, a lis legł z dymem. W tej chwili drugi lis, którego nie widziałem, gdyż znajdował się on widocznie pod samą ścianą trzciny, zamiast cofnąć się, tak jak to lis potrafi, przesadza iście rysim skokiem zwłoki nieboszczyka w zamiarze dostania się do przeciwległej trzciny, lecz w chwili tego zachwycającego skoku palnąłem z lewki. Lis zrulował, poczem chwycił się zębami za bok i poczołgał w oczeret, gdzie go w kilka dni później znalazł Wasyl. Nie potrzebuję dodawać, że z powodu tej dublety cała przyjemność była po mojej stronie, naprzód bowiem pozbawiłem żywota dwóch rabusiów, powtóre podszedłem na strzał lisy w dzień cichy i jasny, a w dodatku, jak się okazało, nie młode durnie, jak przypuszczałem pierwotnie, lecz stare lisy, mianowicie sukę i psa. Zdarzenie więc niezwykłe. Wreszcie dzieła tego dokonałem z ptaszniczki systemu Lankastra kalib. 24, na odległość 65 kroków, śrótem nr. 8 i 14. Nie przypuszczałem nawet, aby strzelba tego wagomiaru, istny Liliput, którą nabyłem u Dzikowskiego we Lwowie, jedynie dla jej lekkości i oszczędności amunicyi, biła tak znakomicie! Po cóż więc, zwłaszcza na błotach i w ogóle na ptactwo, używać strzelb 12 kalibru, owych kolubryn XIX. stulecia, pochłaniających dużo prochu i śrótu, skoro połową tej amunicyi można uzyskać ten sam rezultat. Jest jeszcze jedna dodatnia strona strzelb małego kalibru, mianowicie ta, że zaprawia się myśliwy do celnych strzałów, gdyż ze względu na małą pojemność śrótu, nie udają się tu strzały gorączkowe dane na chybił trafił, które przy kalib. 12 z powodu masy śrótu się wydarzają i tak sromotnie nieraz myśliwską ambicyę kompromitują.

Sew. Krogulski.

G. Rotha naboje metalowe na grubego zwierza (Hochwildpatrone). Przewaga kuli podłużnej nad okrągłą pod względem donośności strzału jest niezaprzeczoną. Dla celów myśliwskich jest to korzyść podrzędna, stwierdzona to bowiem rzecz przez ludzi fachowych, że postrzału skutek od kuli podłużnej nigdy nie jest tak śmiertelnym i zwierz nie ruluje tak nagle, jak od kuli okrągłej. Spostrzeżenia nad skutkami strzału, jakie rozmaite pociski wywierają, po przeszyciu powłoki, w organizmie zwierzęcym, są wynikiem badań, którmi od dłuższego czasu zajmuje się zaszczytnie znany na tem polu Raul Dąbrowski. Stwierdzoną doświadczeniem niekorzyść kul stożkowych małego kalibru starano się oddawna usunąć przez nadanie pociskom innej formy, któraby mianowicie nie powodowała zboczenia z linii celnej w skutek zetknięcia się z gałęziami, a przy ukośnej dyrekcyi strzału nie ślizgała się po skórze zwierzęcej. Znane myśliwym naszym są np. pieńki walcowate, w środku nawskróś wydrążone, a w tem wydrążeniu zaopatrzone gwintem wydatnych rozmiarów, które w locie przeciskającym się przez ten środek gwintowany prądem powietrza, mają lepiej utrzymywać dyrekcyę strzału, bez potrzeby znacznej elewacyi, a zarazem ostrym kantem jakoteż większą swą objętością mają razić grubego zwierza nierównie silniej i skuteczniej, jak mała kula stożkowa. Najnowszym w tym kierunku wynalazkiem jest ładunek G. Rotha, fabrykanta łusek metalowych w Wiedniu. Nosi on nazwę „ładunku na grubego zwierza“ (Hochwildpatron) i przedstawia się pod względem formy pocisku jako pośrednik między kulą okrągłą a wspomnianym pociskiem, kula bowiem jego większych rozmiarów, użyta do broni ciągniętej, jest sferycznie stożkową, a u wierzchołka ściętą do kantu ostrego. Nabój ten zupełnie gotowy zastosowany jest do najrozmaitszych rodzajów zwierza. Ładunków tych dostarcza firma: Johann Springers Erben (Wien I. Stok im Eisenplatz nr. 5.). Bliższe określenie tej rzeczy podamy później. *L. W.*

Zawóz w Sanockiem.

W ostępie Wola-gorzańska, na poletku głęboko w górach położonym, nadanym w ordynaryi leśnemu, w owsie na tej płazowinie zasianym, czyniły wielką szkodę dziki, packając lub wytłukając zboże. Właściciel owsa z drugim leśnym wybrali się w Czerwcu b. r. podczas księżycowej nocy na zasadzkę. W istocie około północy, o jakie 40 kroków od czatującego leśnego Michałka, wysunął się zwierz jakiś, poczynając buszować po zbożu. Nie wiele się namyślając pali doń leśny z swej pojedynki, nabitej w braku kuli odłamkiem nóżki z żelaznej rynki. Strzał był trafny, ugodzony zwierz dawszy w górę susa, runął martwy. Okazało się, że ubity zwierz nie był dzikiem, lecz ogromnym, starym niedźwiedziem, który od kilku już lat wraz z niedźwiedzicą wielkie wyrządzał szkody w owsach, cyckając je, ubijał też bydło w koszarach i na pastwiskach. Niedźwiedź padł na miejscu, odłam nóżki żelaznej przy obielaniu wyjęto i przechowano na pamiątkę. O podobnym wypadku czytałem już w „Łowcu“. Lud nasz, szczególnie górski, w trybie życia i zwyczajach myśliwskich, wszędzie do siebie podobny. Niedźwiedź, jakkolwiek do właściwych Beskidów od nas dość daleko, często się przytrafia w kniejach naszych, podchodzi połoninami, do których część państwa Zawóz przylega. Lesisto u nas i górzysto, zwierzyny dość, osobliwie dzików, często i niedźwiedzi — wszystkie te zwierzęta pielgrzymują do grobowca słynnego myśliwego ś. p. Józefa Tyszkowskiego, śpiącego snem wiecznym w pobliżu tych kniei, gdzie tylekrotnie celne strzały jego gromkiem odzywały się echem. *Michalski*, dzierżawca Zawozu.

Iwonicz 6. Września.

Po kilkudniowych upałach, które dochodziły najwyższej w tym roku dostrzeganej ciepłoty, bo 24⁰ R. w cieniu, wczoraj popołudniu silny wiatr napędził chmury i spadł rzęsisty, ale krótki deszczyk. Wieczorem wyszedłem na przechadzkę na tak zwane połoniny, t. j. wzgórza pod lasem, z którego rozległy roztacza się widok na okolicę Krosna. Już zmierzchało, kiedy siedząc na kanapce, usłyszałem za sobą na górze, gęstym jodłowym lasem pokrytej, klekotanie bociana, któremu w różnych miejscach odpowiadały inne bociany. Wiedząc, że w tej okolicy bocianów nie ma, wielce zainteresowany tymi głosami, wyszedłem na wzgórze, które góruje ponad innymi wokoło rozłożonymi lasami i spostrzegłem wielkie stado bocianów, które obsiadły szczyty jodeł. Zabawny był widok boćków niezgrabnie sadowiących się na gałęziach jodeł. Trafiłem więc na stado odlatujących ptaków, a nie wiem czy obawa popołudniowej burzy spowodowała ich do zajęcia tak niewygodnego noclegu lub popasu, czy też zdarza się to częściej, że w przelocie zapadają na lasy. Ponieważ bocian sypia stojący na jednej nodze, a pozycya ta na ruchomej gałęzi nie może być wygodną, sądzę więc, że był to raczej przypadkowy odpoczynek, a nie zwykły nocleg w podróży. Nie widziałem wreszcie bocianów odlatujących w dzień, jak to się często żurawie widuje. Spotkanie to jako niezwykłe podaję do wiadomości czytelników „Łowca“. Już po zamknięciu listu dowiaduję się od leśnego, że stado bocianów bardzo wielkie, oblicza go na wyżej 1000 sztuk, nocowało na jodłach, a o 5. dziś rano odleciało. *Z. R.*

Ogromnego jelenia zabił 10. b. m. w Zadowie naczelnik gminy Czerniowieckiej p. Gojan. Rogacz to był zaprawdę „pyszny“, szesnastak, ważył 500 funtów wiedeńskich. *u.*

Z pod Złoczowa.

Dobrze to mówi przysłowie: „Co się kurze śni? — proso“. Toż i ja chociaż myśliwy już w odstawce, we śnie i na jawie marzę o polowaniu, a najradziej o polowaniu na błotach Niestety w tym roku mało nadarzyło się sposobności urzeczywistnienia tych moich gorących pragnień. Błota i rudki, na których dawniej i kaczka w mokre lato bywała, dziś wyschnięte, jak nieprzymierzając manierka myśliwego, wieczorem z łowów do domu wracającego. Cóż więc robić? Sprzeniewierzyłem się św. Hubertowi, który, jak wiadomo, nie polował na drobną zwierzynę, i począłem, niby student na wakacyach, strzelać do kosów i drozdów, gdy swoim zwyczajem o tej porze roku poczęły chmurami obsiadywać wiśniowe i czereśniowe sady. Najgęściej zapadały na drzewa czeremchowe, objadając czarne ich jagody, które lud „kociabkami“ nazywa. Nie powiem, iżby ten owoc do zbyt wybornych należał, cierpki bowiem jak tarki. Na tych drzewach w przeciągu kilku dni ubiłem przeszło 100 sztuk, przeważnie drozdów. Zkąd się one, w oddaleniu blisko milowem od leśnej ich pieleszy, tu wzięły? W tej mierze zrobiłem spostrzeżenie, ktore czytelnikom „Łowca“ podaję, ponieważ drozd jest ptakiem napół łowieckim. W początku, na wiśniach, czereśniach i czeremchach, jawiły się pojedycze sztuki, aż pewnego dnia o świcie nadleciała cała ich chmura. Z tego wypływa, że i ptaki, podobnie jak mrówki, wilki i t. d. posiadają dar wspólnego porozumiewania się głosem. Każdy ptak, choćby nawet spiewak, ma w swej skali głosu pewne odmiany, które tylko współplemieńcy rozumieją. To jedyny sposób wzajemnego ostrzegania się w razie niebezpieczeństwa, wabienia samic lub piskląt, gdy się z gniazda rozlazły i nawoływania do gromadnej wyprawy na żer. Niektóre ptaki, jak słonki, dubelty, kszyki i t. p., nie mając tak wysoko rozwiniętej skali głosowej, nie żyjąc gromadnie, zastępują go instynktem i węchem, bardzo rozwiniętymi. Na mil kilka węszą błota, rzeki lub jeziora, do których dążą, stosownego dla siebie żeru się spodziewając. Jaka to szkoda, że modulacyi głosów ptasich i zwierzęcych pewnymi znakami, jak muzykę nutami, określić nie można, byłaby to zaiste rzecz nader ciekawa, a dla myśliwych i ptaszników wielce korzystna. Miejmy nadzieję, że po wykryciu i zbadaniu siły elektrycznej, magnetycznej i wielu innych rzeczy, do niedawna za utopię poczytywanych, również określenie głosów stworzeń, nie mających daru słowa, stanie się rzeczywistością. *No . . . . .*

Lwów 6. Września.

Około godziny 8. rano szedłem drogą Łyczakowską ku miastu. Ruch pieszo idących ludzi i wozów bywa tu wielki. Naraz — czy mnie wzrok myli — widzę, jak środkiem drogi szparko pomyka lis w całej swej okazałości i zbliża się ku mnie. Ach! gdyby jaka strzelbina! Niestety miałem tylko laskę w ręku, więc rzuciłem ją za nim i chybiłem, ale poszczułem na zacnego mekitę kilka jawiących się piesków pokojowych. Pomknęły za nim z hałasem, ale on zadarłszy kitę, skręcił w bok i ruszył wprost ku wzgórzom i laskowi. Lis ten uciekł prawdopodobnie komuś z łańcuszka, czego dowodem była obróżka na jego szyi. Podobne zdarzenie widziałem we Lwowie przed kilkunastu laty. Wśród południa pojawił się na ulicy Halickiej zając, a za nim gromada łobuzów i złaja piesków różnej rasy z piskiem i szczekaniem na różne tony. Podobno zforsowano wtedy owego biednego szaraka. *A. U.*

Anegdotyczną i nieprawdopodobną wiadomość podaje „Kuryer Lwowski“ z dnia 8. Września b. r. pod tytułem:

S t r a s z n e ł o w y na dzikiego zwierza odbyły się w lasach tarnawskich powiatu turczańskiego, kosztem turczańskiej Rady powiatowej i przy pomocy starostwa dnia 16. i 17. Sierpnia b. r. Starostwo wydało odezwę do wszystkich amatorów polowania, żeby w dobrze zrozumianym interesie ogólnym przybyli z rusznicami na grubego zwierza: niedźwiedzie, wilki i dziki; włościanie zaś otrzymali nakaz pod dowództwem żandarmów przybyć na nagonkę. Rzeczywiście dnia 16. Sierpnia zebrało się około 40 panów ze strzelbami i przeszło 200 chłopów z cepami, kosami i widłami. Chłopi z żandarmami obstąpili lasy z trzech stron i pędzili zwierzynę, ale pierwszego dnia zwierzyna z powodu obszerności lasów nie doszła jeszcze do strzelców. Drugiego dnia nagonka poszła dalej i koło 10. godziny zaczęła się zbliżać do strzelców. Gdy atoli panowie myśliwi posłyszeli już w pobliżu ryk i huk nagonki, zrobiło im się z początku markotno, a potem bardzo straszno i jeden za drugim dali drapaka, zwierzyna zaś spokojnie poszła sobie dalej. Jeden tylko myśliwy uratował honor przedsięwzięcia, gdyż nie mogąc podążyć za uciekającą bracią, wdrapał się ze strachu na drzewo i z tego bezpiecznego stanowiska zabił — srokę.

Szamo (Afryka) w Lipcu.

(U s t ę p z l i s t u). W Lutym dostaliśmy zaproszenie, czyli jak brzmi wyrażenie kaferskie: brat Ramakokany, Malauro, chcąc sobie „sprokurować przyjaciół“, przysłał nam w darze dwa zęby słoniowe i prosił, byśmy przyjechali do niego na polowanie. W zamian posłaliśmy przez jego ludzi i naszego służącego dary dla niego, a z odpowiedzią otrzymaliśmy jeszcze jeden ząb słoniowy i swoich ludzi, którzy nam mieli towarzyszyć. Miałem ja tam jechać, lecz nadjechał Pisuliński z Tate, a dowiedziawszy się o zamierzonem polowaniu, wielce posmutniał, iż będzie musiał pilnować domu, zamiast polować na słonie, więc wyprawiłem go, a sam pozostałem, obiecując sobie powetować tę krzywdę innym razem. Gdybyś to zechciał wybrać się do nas i zapolować na słonie, w takim razie nie bierz Werndla, lecz Lankastrówkę kalibru 8 lub conajmniej 10 z lufami ciągnionemi i grubemi, gdyż na słonie trzeba pełny taki ładunek nabić prochem tak, że ledwie trochę miejsca zostaje na kulę, która zresztą cała prawie z ładunku wystaje. Cała sztuka polowania na słonie polega nie na celnem strzelaniu, gdyż zwykle strzela się do słonia na 50 kroków, a nawet bliżej, lecz na silnych płucach i szybkich nogach. Słoń, jeśli go nie trafisz w mózg, lub nie złamiesz nogi, nigdy naraz nie pada, ale z kulą w sercu ucieka jeszcze dobrze, więc trzeba za nim pędzić i nie stracić go z oka. Na koniu jesteś pewny każdego słonia, którego zobaczysz, cóż kiedy tu koni niestety nie ma. Najlepszym myśliwym na słonie w okolicach Nyassy był niejaki Stuard. Wychowany w koloniach między Kaframi, sam był prawie Kafrem, polował ubrany jak Kafer, t. j. w kawałku szmaty około bioder i boso gonił jak koń. Umarł niedawno na żółtą febrę, która grasuje nad Nyassą w niektórych okolicach. W swobodniejszej chwili opiszę ci szczegółowo polowanie na słonie, bo to istotnie ciekawe, a może się tem zachęcisz do takiej wyprawy.

Kazimirz St. . . . . . .

Nasze k a r t y m y ś l i w s k i e poczynają się dotkliwie znaczyć, a cios wymierzony w myśliwych, spada na niewinnych. W końcu Czerwca wystawiono na licytacyę polowania w Guggenburg i Rastenfeld. W pierwszej gminie kosztowało polowanie w ostatnim peryodzie dzierżawnym 110 złr. rocznie, obecnie dosięgła cena zaledwie 25 złr. Rastenfeld kosztowało poprzednio 44 złr., teraz tylko 22 złr. Nie wszystko dobre dla wszystkich. Należało w Karyntyi naprzód zbadać istniejące stosunki, nim się nakładało ów nowy podatek.

(Weidmannsheil 1. Września 1887.)

W połowie Lipca b. r. bawiąc czas jakiś w Milatynie starym, pewnego dnia idąc na przechadzkę, spostrzegłem zdala na skoszonej łące siedzącego bekasa. Podchodzę blisko, bekas się nie podrywa, więc zdejmuję z głowy kapelusz, i jak chłopak łowiący motyle, pokrywam go nim. Bekas był oblany. Twarde dosiadywanie spowodowało prawdopodobnie to, że był mocno zgoniony przez jastrzębia, których w tej okolicy bardzo wiele niestety. *P.*

Obfitość wodnego ptactwa na błotach przy Dunaju jest bajeczna. Arcyksiąże Ferdynand d'Este ubił tam w początkach Czerwca w przeciągu trzech dni w pobliżu miasta Semlina na błotach szerokich około 4 kilometrów a długich 11 : 4 kormorany, 6 orłów, 1 łyskę, 2 czaple modronose, 518 czapel zwyczajnych i 282 ibisów. Ilość znajdującego się tam błotnego i wodnego ptactwa obliczają na 30.000 par. Między strzelaną zwierzyną miały też być dwa łabędzie, które wszakże rażone drobnym śrótem — uszły. *(Extrablatt.)*

Hr. Karol Esterhasy założył się z towarzyszami, iż w dobrach St. Abraham (na Węgrzech), koło Pressburga położonych, 8 strzelców w ciągu jednego dnia ubije 1000 sztuk kuropatw. Jakoż polowanie trwało od godziny 8. rano do 7. wieczornej, z krótką przerwą południową i istotnie 8 myśliwych przynieśli 1157 sztuk ubitych kuropatw, a ileż było prócz tego postrzelonych. Zaprawdę świetny rezultat jednodniowych łowów. *(Gazeta Poznańska.)*

S t a r e s i o ł o 3. S i e r p n i a. Jakie rozmiary kłusownictwo w okolicy naszej przybiera, znowu dowód jeden więcej. Dnia 25. z. m. patrolujący gajowy z Chlebowic wielkich, postrzelonym został z przodu przez nieznajomego dotąd złoczyńcę, pięcioma śrótami i tylko nadzwyczajnemu przypadkowi, t. j. że się w chwili, gdy kłusownik wypalił, schylił, zawdzięcza, że śmiertelnemu ciosowi nie uległ. Otrzymał on w kierunku skośnym w klatkę piersiową trzy, w uda zaś dwa śróty. Śledztwo sądowe rozpoczęte. *(Kuryer Lwowski)*

G a z e t a L w o w s k a z dnia 3. Września b. r. donosi — nie wiem, z jakiego czerpiąc źródła — że w pobliżu Londynu, w przepysznym parku Richmond, musiano ubić 9 rogaczy jeleni, podległych wściekliźnie. Zaprawdę, reporterowi takiej wiadomości należy się najsłuszniej order złotej kaczki dziennikarskiej, albowiem wiadomość tę można uważać za humbug nad humbugami. Nie ma wątpliwości, iż owe rogacze w porze rui, uległy z powodu niezmiernego rozdrażnienia, którego w braku łań w parku zaspokoić nie mogły, szałowi. Wiadomo, że jelenie i sarny rogacze nie tylko w zamkniętym zwierzyńcu, ale nawet na wolności, w razie silnego roznamiętnienia w porze rui, podlegają istotnemu szaleństwu. Kaleczą się nawzajem, ubijają na śmierć i stają się nie tylko dla innych stworzeń, ale nawet dla ludzi niebezpiecznymi. O wypadku takim donosił już „Łowiec", że w pewnej wsi huculskiej stary rogacz jeleń był przez dłuższy czas postrachem okolicy, kalecząc bydło na pastwisku i pastuchów. Gospodarza wracającego konno przez las do domu, strącił wraz z koniem w przepaść, koń się zabił. gazda zawdzięczał swe ocalenie krzakowi kosodrzewu, którego się był chwycił. Szał owych jeleni w Richmondzkim parku byłby niezawodnie z końcem pory rui przeminął, więc szkoda, że je nieświadomy rzeczy zarządzca zabić kazał. Możnaż się dziwić, że tak łatwo ferowany bywa wyrok śmierci na każdego psa, często niesłusznie podejrzywanego o wściekliznę. *A. U.*

P o l o w a n i e d w o r s k i e. W Neuberg, Reichenau, Eisenerz odbyły się w Lipcu b. r. polowania na głuszce i cietrzewie. Ubito 157 sztuk, między temi 22 kur obu gatunków. Sam cesarz ubił 14 kogutów, arcyksiąże Rudolf również sztuk 14 i jednego głuszca-bastarda (Rackelhahn), książe Leopold bawarski 18 głuszców i 3 cietrzewie, wielki książe Toskany 28 głuszców. *(Ueber Land und Meer.)*

R y b o ł o w s t w o w g u b e r n i i R a d o m s k i e j jest według „Gazety Radomskiej", pomimo sprzyjających warunków, bardzo zaniedbane. Dawniej rolnicy lepiej pojmowali doniosłość tej ważnej gałęzi, gdyż liczne szczątki grobel i nasypów w tej gubernii świadczą o istnieniu dużych gospodarstw rybnych, z których dziś już niema śladu. Główniejsze odmiany ryb łowionych w rzekach i stawach radomskich są: szczupak, łosoś, sandacz, okoń, lin, karp, karaś, płotka, leszcz, pstrąg, węgorz i jesiotr. Połów ryb odbywa się bez żadnego systemu, z wyjątkiem naturalnie majątków, w których zaprowadzono regularne gospodarstwo rybne. Ten połów korsarski, o którym wspomnieliśmy wyżej, wpływa bardzo na zmniejszenie się ryb w ogóle i różnych ich odmian. Z żalem jednakże możemy zaznaczyć, że pomimo takiego zbytu ryb na rynkach miejscowych, racyonalnych gospodarstw rybnych znajduje się w gubernii bardzo niewiele, a i istniejące nie należą do wielkich. Znane są powszechnie tylko dwa majątki, w których są zaprowadzone gospodarstwa rybne. Jedno z nich, którego opis pomieszczono w Encyklopedyi rolniczej, zaprowadzone jest w majątku Łękawica w pow. Kozienickim, należącym do hr. Kicińskiego. Tu urządzono 12 małych sadzawek do rozpłodu ryb, 6 dla wzrostu i 6 dużych stawów do łowienia. Wszystkie sadzawki i stawy urządzono na nieużytkach majątku. Do każdego z sześciu ostatnich stawów wpuszcza się po 150 kóp sporych już ryb, które po trzech latach bywają łowione. Urządzenie gospodarstwa kosztowało 6.000 rs. i przynosi dosyć znaczne dochody pominąwszy, że handlarze warszawscy płacą zaledwie po $12^1/_2$ kop. za funt żywej wagi ryby. Drugie gospodarstwo rybne znajduje się w Borkowicach, w pow. Końskim, należącym do ks. Światosława Czetwertyńskiego. Urządzono je przed kilku laty dopiero, pod kierunkiem p. Fuksiewicza, zarządzającego majątkiem. Rozszerzone stawy i sadzawki na trzech folwarkach, doprowadzono do ładu w r. 1876, przyczem urządzono na łąkach jeszcze kilka sadzawek. Wszystkich sadzawek i stawów znajduje się 10 o przestrzeni $4^1/_2$ morga. Niektóre przeznaczone są do tarła i składania ikry, inne do hodowli ryb. Oprócz powyższych sadzawek znajduje się jeszcze 7 większych stawów fabrycznych, zajmujących przeszło $42^1/_2$ morgów, do których wpuszczane bywają dwuletnie ryby, wyhodowane poprzednio i pozostawione tutaj do łowienia. Połów odbywa się peryodycznie co dwa lata, raz w siedmiu stawach o przestrzeni 21 morgów, drugi raz w jednym stawie o takiej samej przestrzeni. W roku 1876 zakupiono w Garbowie (gub. Lubelska) 60 sztuk karpi królewskich, dla rozpłodu w Borkowicach. W ogóle przyznać należy, że gospodarstwo borkowickie przy dalszem racyonalnem prowadzeniu ma przyszłość przed sobą, chociaż z drugiej strony dozór utrudniony z powodu rozrzucenia ich na przestrzeni 14-wiorstowej, z czego włościanie okoliczni umieją korzystać, dopuszczając się karygodnego korsarstwa. *(Hodowca.)*

Nad długowiecznością pstrągów robił staranne studya amerykanin Sherman. Wpuścił rocznego pstrąga w Lafaycie (w stanie nowoyorskim) i co roku wyławiał go w celu obejrzenia i zważenia. Okazało się, że w szóstym roku życia pstrąg zaczyna chudnąć, jego plamy czerwone znikają zupełnie i cała skóra przybiera barwę ciemnoszarą. Śmierć nastąpiła po 46 latach życia pstrąga i wówczas ryba ta była tak wychudzoną, że ważyła mniej niż 4 funty.

(Przyjaciel zwierząt warszawski.)

Warszawski „Dniewnyk" pisze, że projekt przepisów o polowaniu, opracowany przez koniuszego N. Dworu Wielopolskiego, oddany warszawskiemu gubernatorowi Medemowi, został już rozpatrzony i przedstawiony Głównemu Naczelnikowi kraju z pewnemi zmianami. Zmiany te porobiła osobistość wybornie obeznana z tą sprawą zarówno w kraju jak i z przyjętymi zagranicą w rozmaitych państwach przepisami i zwyczajami łowieckimi. W projekcie tym szczególną uwagę zwraca zasada dzierżawienia polowań na gruntach włościańskich. Projektowane jest prawo dzierżawy tych gruntów na polowanie, pozostawiając przedewszystkiem właścicielowi 300 mórg sąsiadujących z gruntem włościańskim za opłatą po 1 kop. od morgi.

(Przyjaciel zwierząt warszawski.)

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.